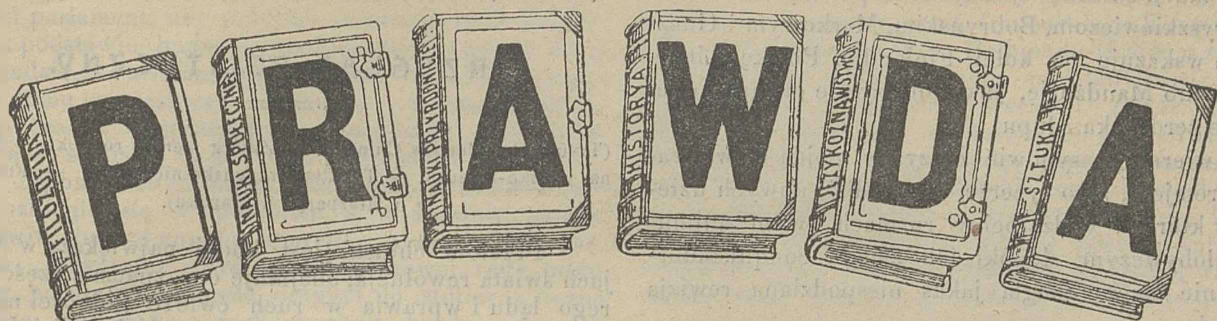
Nr 46 (1608). Warszawa, 18 listopada 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Systemy i ludzie.

„U steru rządów zmieniać się mogą jednostki, ale system trwa niezmienny!" — te stanowcze i charakterystyczne słowa padły podczas pamiętnej sesji dumskiej dn. 10 listopada z ust obecnego premjera, pana Kokowcewa, rozbijając doszczętnie iluzoryczne nadzieje tych marzycieli niepoprawnych, którzy się łudzić mogli, że zmiana człowieka, na stanowisku prezesa ministrów, pociągnie za sobą zmianę kursu w polityce wewnętrznej.

Słowa te, w swej nagiej, szczerej prostocie tak wymowne i rozstrzygające, wypowiedziane zostały pod adresem Finlandji i na tle kwestji finlandzkiej, ale niewątpliwie doniosłość mają szerszą i uchodzić mogą za hasło programowe w sprawach polityki narodowościowej. Tym hasłem nowy premjer uspokoił zatrwożoną biurokrację i uśmierzył te wszystkie żywioły, które u klamki biurokratycznej wisząc, również zaczynały się burzyć w niepokoju.

„System trwa niezmienny!" — tak, trzeba się nareszcie pogodzić z najokropniejszą rzeczywistością tej prawdy, trzeba się rozstać z wiarą w szlachetne intencje filantropów, uprawiających dyplomację, i dyplomatów, uprawiających filantropję!

System rządzenia w państwie nie odchyli się ani na cal od pionu, w jakim stanęła rosyjska *pensée immuable*. Biurokracja, tą *myślą niewzruszoną* natchniona, ma jeden cel na uwadze, do jednej tylko mety zmierza: chce opanować władzę, choćby kosztem życia narodu, i posiąść jego skarby, choćby kosztem ogłodzenia miljonów.

Prezes gabinetu ministrów, utwierdzając niezmienność panującego systemu, propagując nadal w dawnej sile ideę uciskania i eksploatacji kresów, wie doskonale, jak olbrzymie korzyści odniesie stąd biurokracja, i korzyści te tryumfalnie obwieszcza w Dumie, mianując je interesem narodowym.

Oddając kresy obcoplemieńcze na łup nacjonalistów, wiecznie głodnych posad, synekur, awansów i odznaczeń, pragnie on w rdzennej Rosji zapewnić sobie wolną rękę. Wzamian za ruinę i gnębienie kresów, chce on pozyskać niczym nie krępowaną możność biurokratycznego gospodarowania w ziemi macierzystej. Pokazując Rosjanom miraż pełni praw obywatelskich w Finlandji, każe im zapomnieć o tym, że w granicach swej ścisłej ojczyzny najelementarniejszych nawet praw są pozbawieni. Obiecując narodowcom rosyjskim dodatki do pensji, związane z pełnieniem funkcji na Kaukazie lub w Królestwie Polskim, zamyka jednocześnie ich oczy na głód i ubóstwo miljonowej masy chłopstwa, konającego z wyczerpania śród najżyźniejszych gruntów czarnoziemu.

Czyliż cały szereg kataklizmów historycznych, jakie ostatnio wstrząsały Rosją, nie stwierdził dostatecznie, że potęga biurokracji jest niemocą państwa, a tryumf nacjonalizmu prowadzi do zachwiania mocarstwa?

Wszelako, system trwać będzie niezmienny! Myśl i genjusz Stołypina żyje i działa poza grobem. Nie darmo utrzymuje się przekonanie, że krew, wszystkiemu, na co tylko padnie, nadaje siłę i trwałość zdumiewającą. Polityka rozpętanego szowinizmu zyskała sztandar ubroczony krwią swego wodza i nie omieszka samolubstwa swego ozdobić jego chwałą. Polityka ta staje się z dniem każdym coraz zuchwalsza, coraz bardziej wymagająca. Rząd centralny opiera się na niej, ale, bezwątpienia, czuje się pod jej ustawiczną presją, pod jej ciągłym naciskiem niewygodnie skrępowany, jakby osaczony i wciąż kontrolo-

wany. Acz życzliwa i przyjacielska, opieka żywiołów nacjonalistycznych zdaje się rządowi ciążyć i przeszkadzać. Chce się przeto za wszelką cenę z opieki tej uwolnić. A ponieważ uwolnić się może za cenę bardzo tanią, za cenę wydanych na pastwę kresów, tedy Puryszkiewiczom, Bobryńskim, Markowym i Guczkowym wskazuje po kolei Finlandję, Polskę, Litwę, Kaukaz lub Mandżurję, jako olbrzymie otwarte przestrzenie żerowiska i łupu.

I wierni ci synowie ojczyzny pójdą za wezwaniem premjera, jako rycerze, na podbój nowych dziedzin, w których dadzą pełny rozmach swym animuszom zdobywczym, dopóki ich zapału conquistadorskiego nie oziębi znagła jakaś niespodziana rewizja senatorska.

Tymczasem zaś, póki awanturnicy szowinizmu swawolić i zabawiać się będą na kresach, biurokracja wyższa tudzież niższa w głębokiej rodzimej Rosji błogo powtarzać sobie może: „Chwała Bogu niema konstytucji". Chwała Bogu można ścigać czytelnictwo i tępić nie analfabetów, ale alfabety; można drobnomieszczaństwo trzymać w ślepym, bogobojnym posłuszeństwie ciemnoty, można w głuchoniemych pokładach chłopstwa hodować zadatki pogromów, bosiactwa, chorób niewygasających, instynktów barbarzyńskich i dzikich, oszalałych żądz niszczycielstwa; można prowokować bunty i spiski, aby potym móc je uśmierzyć i zasługę uśmierzenia spieniężyć; chwała Bogu można okradać intendenturę, jak wykazał Neudhart i grabić drogi żelazne, jak wykrył Garin, rujnując tym siłę militarną państwa i paraliżując środki komunikacji, a w końcu naród cały przywodząc do upadku i rozkładu...

To wszystko tkwi potencjalnie w historycznej już dzisiaj formule rosyjskiego premjera: „System trwa niezmienny!"

Na kierunek systemu tego żadna jednostka, choćby genjalna, oddziałać nie zdoła. Przeistoczyć go może tylko głęboki przełom w układzie i ustosunkowaniu sił społecznych narodu, przełom wykraczający poza wolę indywidualną i sięgający w grę potęg żywiołowych.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Tryumf rewolucji w Chinach. — Zatarg persko rosyjski. — Wojna włosko-turecka. — Traktat francusko-niemiecki. — Francja i Hiszpanja w Maroku).

Przełom chiński jest bodaj największą w dziejach świata rewolucją; obejmuje ona znaczną część starego lądu i wprawia w ruch ćwierć ludności naszej planety. To, co się dziś odbywa nad Peczili i Jangtse-kiangiem — może ciężko zaważyć na losach całej ludzkości.

Rewolucja wszędzie tryumfuje. Szanchaj, Nankin, Kanton, Chankou — największe miasta imperjum zwróciły się przeciw dynastji. Urzędy, wojsko, marynarka przechodzą gromadnie na stronę powstańców. Dwór pekiński przyparty został do muru, zwłaszcza, że dwie dywizje peczylijskie pod wodzą jen. Czangczaoczenga zorganizowały się w Ligę wojskową i zażądały wprowadzenia bezzwłocznie konstytucji, grożąc w razie oporu zbrojnym pochodem na Pekin.

Regent pośpieszył wydać ukaz konstytucyjny tej treści:

Władza cesarska jest ograniczona przez konstytucję, która oznacza także porządek następstwa tronu. Konstytucję zmienić może tylko parlament. Członków izby wyższej wybiera lud, Parlament obiera prezesa ministrów, którego cesarz następnie zatwierdza. Prezes ministrów przedstawia cesarzowi innych członków gabinetu.

Książęta cesarscy nie mogą wchodzić do gabinetu. ani też zajmować najwyższych stanowisk administracyjnych w prowincjach. Gabinetowi wolno tylko raz rozwiązać parlament. Cesarz obejmuje naczelne dowództwo nad armją i flotą Jeżeli jednak armja lub flota mają być użyte w sprawach wewnętrznych, to

ECHA PRAWDY.

Polski Repnin w Teheranie.

Dramat dziejowy, rozgrywający się na Iranie, winien przykuwać podwójnie naszą uwagę, bo jest on nietylko współczesną kwestją polityczną wielkiego znaczenia, ale i kopią stosunków polskich z końca XVIII-go wieku.

Po raz drugi bowiem ludzkość patrzy na to, jak naród, na progu swego odrodzenia, pada ofiarą zewnętrznego ciosu.

Zaledwie zaczęła Persja podźwigać się i oddychać po długim, śmiertelnym omdleniu, zaledwie pod wpływem mozolnych, nadludzkich wysiłków najlepszych i najświatlejszych patrjotów krew żywiej zaczęła krążyć w organizmie napół zamarłym — gdy oto z północy i południa dwie zbrojne przeciw niej podnoszą się dłonie.

Persja stoi w przededniu rozbioru. Polityczna jej niezależność jest fikcją, podobnie jak była fikcyjną niezależność Polski w drugiej połowie XVIII-go wieku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, rolę księcia Repnina w Teheranie odgrywa z wielką precyzją nasz rodak pan Koziełł-Poklewski, znany i ceniony w petersburskich i warszawskich salonach.

Dwaj Suwereni.

Dowiedzieliśmy się wreszcie, dlaczego wojna ciągle trwa między Towarzystwem Literatów i Dziennikarzy a Stowarzyszeniem Techników, i nie może na drodze pokojowej znaleźć rozstrzygnięcia.

Oto obie instytucje są j e d n a k o z w i e r z c h n i c z e. Pojmujecie? Oba stowarzyszenia zajmują stanowiska dwu powaśnionych ze sobą suwerenów, i niemasz w granicach ziemi trybunału, niema sądu obywatelskiego, któryby stał *ponad nimi*.

Na sąd polubowny zgodzić się może jakaś tam Belgja w zatargu z Holandją, lub maleńka Danja współzawodnicząca z Norwegją, lub nawet Szwajcarja z Włochami. Ale gdy też same Włochy mają zatarg z Turcją, już wówczas miecz tylko może je rozsądzić.

Obie strony biorą się tedy za łby, bowiem tak postąpić każe im honor suwerenów! Nie inaczej rozstrzygnął się spór Ameryki z Hiszpanją, Rosji z Japonją, Anglji z Transwalem.

Są to precedensy smutne, fakty niezmiernie bolesne! Oh! są tacy, którzy nazywają je poprostu hańbą cywilizacji, ale niemniej, są to p r e c e d e n s y h i s t o r y c z n e i, jako takie, obowiązywać muszą wszystkie szanujące się mocarstwa.

Otóż „Prasa" chce być mocarstwem szanującym się. Obrażona przez obce mocarstwo (z ulicy Włodzimierskiej) odtrąca z pogardą wszelkie propozycje konferencji międzymocarstwowych, jak również od-

musi rozstrzygnąć parlament. Dekrety cesarskie nie mogą zastępować ustaw. Międzynarodowe traktaty nie mogą być zawierane bez zgody parlamantu.

O wypowiedzeniu wojny lub zawarciu pokoju może decydować cesarz, jeżeli parlament nie obraduje. Jeżeli parlament nie przyjmie budżetu, rząd nie może na podstawie budżetu zeszłorocznego agend dalej prowadzić. Parlament ma oznaczać wysokość wydatków domu cesarskiego. Uchwały parlamentu publikuje cesarz. Zgromadzenie narodowe wykonywa czynność swoją aż do otwarcia parlamentu — .

Zgromadzenie jednak Narodowe, w obawie rzezi, rozbiegło się w popłochu, a w Pekinie panuje w chwili obecnej zupełna anarchja. Juan-szi-kaj, któremu „rozkazano” być prezesem nowej rady ministrów, po długim namyśle przybył do stolicy z liczną eskortą wojskową, podejmowany bardzo okazale. Bunt szerzy się tymczasem po najdalszych zakątach kraju jak olbrzymia pożoga. Chiny podobne są dziś do emblematycznego smoka, w łunach, we krwi i dymie.

Pomiędzy Rosją i Persją wynikło dość poważne nieporozumienie, na tle zarządzonej przez władze perskie konfiskaty dóbr ks. Szoausa-Saltane, brata i popplecznika b. szacha. Ponieważ książe zaciągnął pożyczkę w jednym z banków rosyjskich, konsulat generalny rosyjski sprzeciwił się konfiskacie, przyczym doszło do starcia pomiędzy żandarmerją perską a konwojem tego konsulatu. W następstwie tych zdarzeń, poseł rosyjski w Teheranie wystąpił z notą w formie ultimatum, żądając ukarania winnych i satysfakcji dla poszkodowanych urzędników rosyjskich. Zajście wzbudziło pewien niepokój w Londynie, gdzie wniesiono nawet z tego powodu dwie interpelacje, na które premjer dał uspakajającą odpowiedź.

Akcja wojenna Włoch w Trypolitanji poczyna zdradzać nerwową niepewność i jakby konsternację. Eskadra włoska z pod Trypolisu ruszyła nagle na morze Egejskie w celu czynnej dywersji: wobec jednak ostrych ostrzeżeń ze strony Austrji, zapał bojowy ks. Abruzzów przygasł po raz drugi i flota, nic nie zdziaławszy, wraca na dawne stanowisko.

Jeszcze mniej fortunnym krokiem była spełniona na papierze podpisem królewskim aneksja Trypolitanji do Włoch *ante factum*, sposób dotąd niepraktykowany w polityce i budzący ironiczne uśmiechy we wszystkich kancelarjach dyplomatycznych.

Natomiast poważne bardzo znaczenie ma świeżo zawarty traktat francusko-niemiecki, mocą którego Francja zdobyła protektorat nad Marokiem, a Niemcy, tytułem kompensaty, część francuskiego Kongo. Dnia 9 listopada kanclerz von Bethmann-Hollweg zreferował ten traktat w Parlamencie, powitany bardzo ozięble jako nabytek wątpliwej wartości. *Leader* prawicy p. von Heydebrand w gwałtownej i burzliwie oklaskiwanej mowie, potępił całą imprezę kanclerza od początku do końca, w konkluzji zaś skierował w stronę Anglji niedwuznaczne groźby wojenne, którym obecny w loży *kronprinz* gorąco przytakiwał. Ten wojowniczy ton rozpraw wzbudził niepokój w... liberalnej prasie niemieckiej, podczas gdy opinja fracuska i angielska zachowały zimną krew.

Tę samę zimną krew ujawnia Francja wobec świeżego zatargu z Hiszpanją, która korzystając z dywersji niemieckiej i dowolnie tłomacząc traktat z 1 września 1905 roku zajęła w Maroku terytorja El-ksar, Larasz i Riff. Zatarg francusko-hiszpański niewątpliwie załatwiony będzie pomyślnie w najkrótszym czasie.

Modernizm protestancki.

Modernizm katolicki zyskał sobie szeroki rozgłos. Nazwiska Murri'ch i Loisy'ch wywołują w wyobraźni zarysy pewnego systematu religijnego, który jednak nie skrystalizował się w żadną instytucję. Kościół katolicki nie znosi kompromisów i z chwilą, gdy dany ksiądz zbyt wyraźnie zaznaczy swe modernistyczne zapatrywania, zostaje on usunięty od ołtarza. Drzwi świątyni zamykają się za nim i nieraz — wbrew własnej woli— dostaje się on do szeregów ścisle wolnomyślnych. Taktyka kościoła katolickiego pod tym względem poniekąd odpowiada duchowi rozwojowemu narodów romańskich, który polega na wyjaskrawianiu przeciwieństw pomiędzy kolejnymi fazami historycznymi i który możnaby nazwać rewolucyjnym. Tak samo jak w religji narodów romańskich katoli-

---

trąca je Anglja, Ameryka i Japonja. Dźwignąwszy swą obrażoną dumę z koronnego stolca przy ul. Brackiej, gdzie mieści się terytorjum Tow. Dz. i Lit., zarząd tegoż wsparł się na artylerji piór i dla zmycia wyrządzonej sobie obelgi — „krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda!”

Zarząd ów jest jako monarcha, wprawdzie monarcha bez korony, ale posiadający, jak inni monarchowie, swego trefnisia w osobie Belmonta, i ponadto jeszcze rozporządzający szeregiem biletów bezpłatnych do Buska i Ciechocinka!

Jeżeli zarząd postąpił źle, jeżeli omylił się, kwalifikując słowa sparwiedliwe, lub obojętne, jako obrazę, jeżeli przesadził, stosując niewłaściwe środki represji, bojkot w najszerszych granicach — to Zarząd może być sądzony tylko przez zebranie ogólne, przez swoją *Izbę Parów*.

Tymczasem wojna trwa w całej zaciętości, a na krwawo posępnym tle tej wojny rysują w strasznej perspektywie dziejowej zmagania Rzymu z Kartaginą, gruzy Tyru, pola Maratonu i katastrofa pod Sedanem. Jedna ze stron musi w tej walce przegrać! Wojna może się skończyć klęską, jeżeli już nie zagładą jednego z przeciwników! Biada! biada! biada.

Lecz wobec grozy tak niebezpiecznego boju, co począć, co mamy począć my, którzy pragniemy zachować neutralność podczas całej kampanji i, nie posiadając majestatu suwerenów, skromne jedynie, indywidualne, zdanie rzucić możemy na szalę?

Gdybyśmy nie lękali się popełnić zbrodni obrazy majestatu względem Zarządu Tow. lit. i dziennikarzy, rzeklibyśmy członkom jego poprostu: „Przestańcie, bo się źle bawicie! poniechajcie roli gdakliwych a zawziętych kogutów, i nie wydymajcie skandalu miasteczkowego do obszaru klęski narodowej!”

Stając atoli przed tronem suwerena, innej musimy użyć wymowy:

— „Najjaśniejszy Zarządzie! — rzekniemy: — policz na palcach nazwiska swych czcigodnych członków i zastanowić się racz, czy nie brzmią one, jako słodkie, ojcowskie napomnienia sprawiedliwości, humanitaryzmu i kultury?

Policz, ile razy na dzień wznosi oczy ku niebu pan Straszewicz, wzywając Boga na świadka swej ewangelicznej pokory i cnoty chrześcjańskiej?

Czyliż imię jego, po Ludwiku, świętym królu Francji tak słusznie odziedziczone, nie stało się jakoby białą chorągwią pacyfizmu na ziemi polskiej zatkniętą? Zali nie on to właśnie, swego czasu, udzielił Anglji nagany z powodu jej drapieżnej wojny w Transwalu? I jakże to dzisiaj pobożna cnota tego męża godzi się z krwiożerczą postawą Tow. lit. i dz., postawą nieprzejednaną względem Stow. Techników? Więc ze swym balsamem ukojenia biegł aż do Transwalu, gdy dla stosunków krajowych zachował tylko piołun, jątrzący serca, i żółć sycącą nieskończone spory!... A reszta? a inni? A pan Ignacy Baliński, panowie Lorentowicz i Drogoszewski,

cyzm jaskrawo przeciwstawia się ateizmowi, tak i w polityce monarchizm i republikanizm, a nawet dzisiaj we Francji poniekąd republikanizm i socjalizm przybierają kształty wzajemne wykluczających się antytez.

Cele, do których dążą ludy anglo-germańskie, są takie same, jak u ludów romańskich. Monarchizm, republikanizm i socjalizm, katolicyzm i ateizm nie są to bynajmniej puste dźwięki dla uszów „blond-bestji". Jednak urzeczywistnia je ona inaczej, po swojemu, w sposób pogmatwany, nielogiczny, nie znoszący wyraźnych przeciwieństw, bogaty w przeróżne pół-cienie i środki, skłonny do wzajemnych ustępstw, pozwalający jednej fazie zachodzić na drugą i tylko w rzadkich wyjątkowych wypadkach stawiający na ostrzu noża wszelkie konflikty natury wewnętrznej.

Ta nieracjonalna, a przynajmniej nieracjonalistyczna, metoda rozwojowa jednak w sumie sum prowadzi do większych rezultatów. Dzieje się tak, jak gdyby ludzie przez wzajemną ustępliwość oszczędzali sobie pewną ilość sił na tarciach wewnętrznych i tę zaoszczędzoną siłę zużywali na rozrost zewnętrzny i na zdobywanie natury.

Zauważył to pomiędzy innymi znany socjalista Kautsky, który w swej „Etyce w świetle materjalistycznego pojmowania historji" mówiąc o Anglji dochodzi do wniosku, że jest „prawem powszechnym rozwoju społecznego, iż kraje, które przodują innym w rozwoju ekonomicznym, skłonne są do kompromisów, a nie do rozwiązań gwałtownych" (str. 27). Zupełnie to samo można powiedzieć i o rozwoju politycznym, a także o rozwoju religijnym. Nie podobna sobie wyobrazić czegoś więcej pogmatwanego, niż ustrój polityczny Anglji lub Niemiec.

To pogmatwanie jest właśnie rezultatem kompromisów pomiędzy rozmaitymi czynnikami, rezultatem, widzianym w przekroju danej chwili. Owego „kompromisowego" rozwoju nie należy bowiem ani na chwilę utożsamiać z zastojem, lecz jest to dziwna zdolność do utrzymywania przy życiu obok siebie takich rzeczy, które, zdawałoby się, powinny następować po sobie. To, co ma zamierać, właściwie nie zamiera, lecz stopniowo przekształca się w swoje przeciwieństwo. Władza monarchiczna w Anglji, formalnie samowładna, a faktycznie uzależniona od opinji publicznej i niczym nie różniąca się od władzy prezydenta w republice—oto jeden z najjaskrawszych przykładów tej specyficznej anglo-germańskiej „ewolucji do antytezy". Anglja jako całość, stoi oczywiście bez porównania wyżej od Niemiec, lecz nosi ślady tej samej pogmatwanej rozlewności. Król, formalnie wszechwładny, Izba lordów, prawie wszechwładna Izba gmin, pół Londynu na gruntach jakiegoś duc'a, olbrzymie kooperatywy; socjalizm municypalny i prawod. robotnicze, militarnie rządzone Indje i podległa Wielkiej Brytanji republika (Common wealth) australska... Trzeba mieć angielski mózg, ażeby pomieścić to wszystko w ramach jednej całości, nota bene najpotężniejszej na świecie. A Niemcy ze swoim samowładnym królem pruskim, powszechnym głosowaniem do Sejmu Rzeszy, parlamentarną Bawarją, socjalistami i dwudziestu feodalnymi dworami rozmaitych panujących — także są, zdawałoby się zlepkiem takich czynników, które się wzajemnie wykluczają.

Ta sama „kompromisowość", która cechuje ekonomiczny i polityczny rozwój krajów anglo-germańskich, cechuje również i ich rozwój religijny. Już sam protestantyzm, szczególniej w swoich dwóch największych odmianach anglikańskiej i luterańskiej, jest szczególniejszym kompromisem pomiędzy pierwotnym chrześcijaństwem, katolicyzmem, uroszczeniami władzy świeckiej, budzącą się demokracją i nieświadomym patrjotyzmem. Kompromis ten urąga wszelkiej logice. Niepodobna uzgodnić żadnego dogmatu, a wiara w jakieś objawione dogmaty cechuje przecież każdą religję, z indywidualną swobodą czytania i komentowania Biblji. Posłuszeństwo monarsze, zajmującemu jakieś nieokreślone, a mimo to wysokie stanowisko w hierarchji religijnej, wyklucza demokratyczną równość wyznaniową i wybieralność duchownych. To monstrum logiczne miało jednak wszystkie zalety plastycznej przystosowalności do zmieniających się form życiowych, przyczym potrafiło odegrać niezmiernie dodatnią rolę cudownej szkoły demokracji, zbiorowej pracy, wzajemnej tolerancji i patrjotyzmu.

Dzisiaj protestantyzm, wytworzywszy sobie dziesiątki rozmaitych stopniowań w kierunku większej grawitacji ku arystokracji i demokracji, ku chry-

---

Peszke i Olchowicz, czyż również głęboko przejęli się rolą *suwerenitetu*, jaki dźwigają na barkach, że myśl poddania się jakiemuś sądowi polubownemu wydaje się im zdradą instytucji? Anglja, Niemcy, Ameryka i Japonja odrzucały wprawdzie dotychczas usługi konferencji międzynarodowej w Haadze, niemniej wszakże w zasadzie pożytek, doniosłość i sprawiedliwość takiego sądu najzupełniej uznały. Czyżby to, co nie ubliża godności Stanów Zjednoczonych, ubliżało godności Tow. lit. i dzienn.? Pomyśl nad tym Najjaśniejszy Zarządzie! nie chcemy obniżać twego majestatu, ale sądzimy, że skoro koledzy twoi — suwereni, jak Anglja, Francja, Szwecja, Norwegja i Stany Zjednoczone zgodziły się w zasadzie na sądy rozjemcze bez ujmy dla swego honoru, to i ty to drobne ustępstwo ze swych praw zwierzchniczych uczynić możesz! Cenisz swe prawa suwerena, wiemy to, bardzo wysoko, ale przecie nie powinieneś cenić ich wyżej, niż to czyni Anglja i Francja!

Niesłychane rzeczy!

List włościan kaliskich do biskupa włocławskiego, zamieszczony w *Zaraniu*, a przedrukowany w *Prawdzie* uczynił w obozie katolickim wrażenie gromu z jasnego nieba.

Dziennik Powszechny, oczyma pana Miecznika dokument ów przeczytawszy, jęknął jak rozbity dzwon na wieży staroświeckiej, a potym szaty rozdarł i jął zawodzić boleśnie, klnąc i wzywając ustami tegoż Miecznika pomsty bożej na „zuchwalców":

— Niesłychane rzeczy! Chłop polski, podbechtany przez radykalnych agitatorów, szerzących niewiarę religijno-społeczną w słowie i mowie, zwraca się do biskupa. Trzeba przeczytać ten list chłopski, by bezczelność jego pojąć!... Tak! powtarzam, trzeba go przeczytać, chociaż oczy ślepną ze zgrozy i oburzenia gdy go się czyta. Są w nim zdania, które, poprostu, krew ścinają w żyłach. Ot, posłuchajcie: „każdemu człowiekowi wolno, jako wolnemu we własnym sumieniu, wszystko czytać"... — Piękne zdanko, co? ładnych dożyliśmy czasów! Ale, to nie koniec! „Księga wiedzy jest już dla wszystkich otwarta jednako"... Słyszeliście, państwo, taką piosenkę? A toż, doprawdy, włosy wstają na głowie! „Wolność", „sumienie", „własny rozum", „księga wiedzy", „wszystko czytać": — nie! na miły Bóg, w ustach chłopa wyrazów takich ścierpieć niepodobna! Wszystko inne, raczej, wszystko inne, niżli to! wszystkie grzechy Kościół święty katolicki gotów jest ludowi odpuścić, ale tego jednego: poczucia wolności w sumieniu własnym, tego jednego nie odpuści nigdy. Bo można było znieść to, że wieki całe chłop, zbydlęcony niewolą, grążył się

stjanizmowi pierwszych czasów i ku mniej lub więcej filozoficznemu deizmowi, stanął oko w oko z ateizmem Zdawałoby się, że wszelkie wyznania protestanckie doszły do kresu swoich przemian, do tego punktu, gdzie żadnych mostów pomiędzy wyznaniem, a bezwyznaniowością stawiać nie można. Tak by się zdawało logicznie i dla tego właśnie tak się nie dzieje. Modernizm protestancki idzie daleko dalej, niż modernizm katolicki. Zatracając treść nietylko protestancką, ale i wogóle chrześcjańską, zlewa się on faktycznie z wolnomyślnością, lecz pozostaje w ramach formalne tej samej organizacji.

P. Rudolf Broda, zanalizowawszy ewolucję protestantyzmu, dochodzi do takiego wniosku, (październikowy zeszyt z 1910-go r. miesięcznika *Les Documents du Progrés*. Ten sam temat w takim samym duchu porusza p. Broda w sierpniowym zeszycie *Doc. du Pr.* z r. b.). „W najdalej posuniętych krajach protestanckich dokonała się ewolucja, na skutek której zgromadzenia niedzielne nie są poświęcone właściwemu kultowi, lecz kulturze uczuć humanitarnych i studjowaniu reform społecznych. Akcja społeczna stanowi prawdziwy przedmiot zajęcia licznych wolnych kościołów protestanckich, które w Ameryce, Australji i Anglji grupują znaczną część, niekiedy większość ludności. W Australji, tym kraju „moderne par excellence" idą często jeszcze dalej: tam — w hymnach niedzielnych rozbrzmiewa echo wszystkich idei współczesnej wiedzy, a ostatnie przeżytki tradycyjnego chrześcjaństwa ustępują miejsca propagandzie reform społecznych. Jedynie formy dawne pozostają, ramy zebrań niedzielnych z ich grą na organach, chórami, kazaniem i wewnętrznym skupieniem. Lecz te ramy stały się doprawdy potrzebą ludzkości".

Tak więc świątynia wyznaniowa przez protestantyzm przekształca się ewolucyjnie w swoją antytezę, w miejsce zgromadzeń bezwyznaniowych. Ta niezrozumiała ewolucja stała się możliwą dzięki wyjaskrawianiu punktów stycznych pomiędzy wszelkim wyznaniem i wszelką bezwyznaniowością, a tymi punktami stycznymi są, jak to doskonale zauważył p. Broda, rozkosze artystyczne, atmosfera wewnętrznego skupienia i potrzeba głębokiego odczucia i poważnego zastanowienia się nad swoim ideałem, jakikolwiek on jest. Anglo-germańska metoda wyjaskrawiania podobieństw doprowadzi w końcu końców do takiego samego zalania kościoła przez wolnomyślność, jak i romańska metoda wyjaskrawiania przeciwieństw. Mimo to, rezultat wcale nie będzie ten sam, a siły zaoszczędzone w walce znajdą nowe ujścia i wywrą swój dodatni wpływ

Modernizm protestancki przedziera się w ostatnich czasach do Niemiec. Niemojewski ciągle nam mówi o różnych pastorach niemieckich, którzy studjując historję religji, dochodzą do takich samych wniosków, jak on i nietylko nikt ich pod sąd nie oddaje, ale nawet nie pozbawia pastorstwa. *Kurjer poranny* (Nr. z 14 lipca r. b.) donosi o proteście, wywołanym przez skazanie pastora Jalho w Kolonji, którego konsystorz usunął od obowiązków za indywidualne pojmowanie religji ewangelickiej.

Oczywiście ów konsystorz ustąpi, lub też utworzy się jedna więcej sekta protestancka.

Są dwie zasady w protestantyzmie, które mu dają nieograniczone możliwości rozwojowe, a mianowicie: obieralność pastorów przez ogół wyznawców i prawo indywidualnego czytania i komentowania Biblji. Mając swobodę indywidualnego czytania Biblji, nie trudno dojść do wniosków zupełnie ateistycznych, ale i wtedy nie można być wykluczonym z protestanckiej organizacji wyznaniowej. Ta logiczna niedoskonałość społecznie jest niesłychanie płodna i prowadzi prostą drogą do takich rezultatów, jakie p. Broda zaobserwował w Australji.

Dla nas — przyznam się otwarcie — wolałbym, pod względem religijnym, jak i pod innymi względami — „kompromisową" drogę rozwoju wewnętrznego, drogę anglo-germańską, od romańskiej drogi „gwałtownych rozwiązań". Protestantyzm ma u nas dużą misję kulturalno-cywilizacyjną do spełnienia, a do szczepienia na naszym gruncie najodpowiedniejszą jest jego najbardziej demokratyczna, najsilniej indywidualistyczna i najgłębiej tkwiąca korzeniami w tradycji polskiej — odmiana, a mianowicie: kalwinizm.

Jerzy Kurnatowski.

---

w barbarzyństwie, w ciemnocie, w gnuśności i w występkach, można było znieść to, że w 46 roku podpalał dwory i ręce ubroczył w krwi swych braci-rodaków, można było jeszcze chłopu wybaczyć, gdy w roku 63 i 64 niedobitków ścigał po lasach i wydawał w ręce żandarmów, ale, zaprawdę, nie można ścierpieć tego, aby chłop dzisiaj, poczuwając się człowiekiem i obywatelem, głosił wolność swego sumienia i ręką zuchwałą sięgał po księgę wiedzy, jednako dla wszystkich otwartą! Nie! nie! i jeszcze raz nie! Tego jednego nigdy — Bóg świadkiem! — ludowi Kościół święty katolicki nie odpuści!"

— Ależ, zmiłuj się, panie Mieczniku! W liście otwartym włościan nic się nie mówi przeciwko religji! Chcą oni twardo stać przy chorągwi Chrystusowej ...— ozwał się niespodzianie ktoś, śledzący zdaleka bieg myśli Miecznikowych, lecz nie mógł dokończyć, gdyż ten, zaperzony, wołał już, zagłuszając oponenta:

— Ha! ha! Nic się w liście nie mówi przeciwko religji! Tak, tak! Owszem, chłopi wolnomyślni chcą stać przy religji i przy zasadach Chrystusowych. Tylko nie chcą księży. Religijność abstrakcyjna... Bez księży, więc bez kościoła i obrzędu... Ano! dziękujemy uprzejmie za taką religijność. Pytam się, coby się wówczas z nami stało? Taka religijność — to nic! O, szelmy! chcą Pana Boga chwalić, ale bez księdza! O! czasyż to są, czasy! Chcą się modlić, ale modlić się chcą bezpłatnie!!...

Tu, głos pana Miecznika, doszedłszy najwyższych tonów oburzenia, załamał się nagle i zgasł, bowiem nie stało mu już tchu. Ale też zadanie jego było skończone. Ugodzone pociskiem ostatniego argumentu rozwiało się bez śladu widmo dalekiej opozycji.

Sahara pod wodą.

Inżynierowie francuscy, którzy zdążyli w krótkim czasie odciąć kanałem Suezkim dwa lądy starego świata i przepołowić trzeci ląd—amerykański, (co im się w połowie tylko udało) — powzięli obecnie nowy, olbrzymi projekt, którego wykonanie zmieni wygląd naszej półkuli.

Chodzi mianowicie o to, by zatopić znaczną część Sahary, stwarzając rodzaj sztucznego morza w Afryce Północnej, co znakomicie podniesie, ożywi i użyźni te wielkie przestrzenie, ku którym kieruje się dziś ogólna uwaga z powodu wypadków w Trypolisie i Maroku.

Rzeczony projekt, mimo gigantycznych swoich rozmiarów i śmiałości niesłychanej, nie jest bynajmniej trudny do wykonania, zważywszy że spora część Sahary leży niżej poziomu oceanu, zatym kanał długości 80—120 wiorst od morza Śródziemnego wystarczy, aby rzucić w głąb kontynentu olbrzymią masę wód.

Błędnym jest zresztą mniemanie, jakoby Sahara zawsze była jałową pustynią. Przeciwnie — miała

Listy z Galicji.

XVI.

(Nowe ministerjum i Koło Polskie. — Wybory w Złoczowie i Drohobyczu. — Sprawy krajowe).

Gabinet bar. Gautscha upadł prędzej niż się można było tego spodziewać. Nowy premjer hr Stürgkh jest ulubieńcem sfer klerykalnych, mających znaczne wpływy w otoczeniu następcy tronu. Nominacja jego nie była bynajmniej wynikiem obecnego ustosunkowania się stronnictw w parlamencie, ale wpływów postronnych. Hr. Stürgkh jest najlepiej widziany przez stronnictwo chrześcjańsko-socjalne. Jest to człowiek bardzo miernych zdolności, który robić będzie to co mu każą z góry. Gabinet jego jest na razie czysto urzędniczy, nie znaczy to jednak aby nie miał się zmienić z czasem na parlamentarny. Hr Stürgkh zdaje się ma ochotę pozostać długo u władzy, będzie więc manewrował w odpowiedni sposób.

Jednakże stronnictwa pragnące utrzymania powagi parlamentu, dążyć będą niezawodnie do jego obalenia.

Nowy premjer przyjął, w sprawie kanałowej, wszystkie zobowiązania br. Gautscha wobec Koła Polskiego. Niezawodnie więc, budowa kanałów rozpoczęta zostanie; na razie Kraków połączony zostanie z granicą Śląska kanałem, następnie zaczną się prace przygotowawcze do przeprowadzenia kanału Wisła-Dniestr.

Nie ulega wątpliwości że nowe Koło Polskie posunęło znacznie naprzód sprawę budowy kanałów, dlatego też prasa narodowo-demokratyczna, idealizująca dawne Koło, którego prezesem był dr. Głąbiński, usiłuje ciągle wzbudzić pesymizm w sprawie realizacji planu dróg wodnych, aby zatrzeć różnicę między tym co jest, a tym co było.

Niedługo odbędą się wybory w Drohobyczu i Złoczowie. Mandat Drohobycki złożył, po krwawych wypadkach, dr. Löwenstein; Złoczowski — poseł Breiter, który wybrany został we Lwowie.

Akcja wyborcza nie rozpoczęła się jeszcze na szerszą skalę w tych okręgach. W Drohobyczu oprócz dr. Löwensteina, który staje ponownie, kandydują jeszcze adwokat Segal i inż. Hausner socjalista. W Złoczowie przejdzie zapewne ex-minister Dulęba, narodowi demokraci cofnęli swojego kandydata Srokowskiego, trzecim kandydatem, zalecanym przez posła Brejtera jest redaktor *Gazety Poniedziałkowej* postępowiec.

Sprawa reformy wyborczej nie posunęła się niestety naprzód. Aby ją przyśpieszyć polecono prezydjum Koła Polskiego w Wiedniu rozpocząć portraktacje z Rusinami. Potrzeby życia zmuszają do odstępstw od doktrynerstwa.

Ze strony polskiej trzymano się zawsze tezy, że pertraktacje z Rusinami prowadzić należy w kraju, i że należą one do Sejmowego Kołu poselskiego, składającego się z posłów sejmu i parlamentu. Obecnie okazało się, że Sejmowe Koło poselskie jest instytucją ciężką niezdolną do akcji. Oprócz tego skład jego jest taki, że uniemożliwia dojście ugody do skutku. Trzeba więc było powierzyć te portraktacje Kołu, na czele którego stoi wybitny polityk i zwolennik ugody dr. Biliński. Aby jednak nie zrywać z tradycją, postanowiono uznać narazie pertraktacje Koła za nieobowiązujące. Nie wiadomo więc jak się te stosunki ułożą.

Sprawy krajowe są w zupełnym zastoju. W czasach ostatnich w prasie „opozycyjnej" t. j. narodowo demokratycznej i tej co jej świadomie, albo nieświadomie sekunduje ujawnił się prąd bardzo niezdrowy. Żywioły które zawiodły się w swoich rachubach podczas ostatnich wyborów, z nienawiści do rządu krajowego i większości Koła Polskiego, usiłują systematycznie przedstawiać w fałszywym a ujemnym świetle postępowanie prezesa Bilińskiego, rozpuszczają błędne wieści o „upośledzaniu" naszego kraju, stwarzając przez to, zupełnie sztucznie, nastrój, w którym pewne odłamy społeczeństwa tracą równowagę sądu o sprawach bieżących i o stosunku kraju do państwa. Tego rodzaju demagogja niby „patrjotyczna" może być na rękę tylko naszym wrogom, czego nie rozumieją niektórzy naiwni publicyści, traktujący sprawy polityczne zbyt abstrakcyjnie

Ze tak postępują narodowi demokraci. nic w tym niema dziwnego, gdyż ludziom tym zawsze tylko chodzi o interes własnej kliki, smutnym jest natomiast, że naśladują ich inni, często w dobrej wierze...

Wszystko to jest jakby powrotną falą dawnej tromdradacji galicyjskiej.

Ludwik Kulczycki.

Sprawa Marokańska.

(Rzut oka wstecz)

Z górą sto lat minęło od czasu, kiedy Francja w Afryce Północnej pierwsze postawiła kroki. Nie były one szczęśliwe: anglo-francuski zatarg

---

i ona okres wielkiej świetności, o czym świadczą spotykane gnieniegdzie zwaliska i ślady wód.

Lecz z powodu wklęsłości naturalnych żadnego nie dających ujścia ku morzu, zwolna poczęła się Sahara pokrywać jakby całunem piaszczystym pustyni; w tej formie widzimy ją obecnie.

Z chwilą gdy na południu od Algieru i Tunisu utworzy się wielkie jezioro sztuczne — wszystkie okoliczne przestrzenie staną się żyzne i ludne.

Powierzchnia niektórych ziem np. Fezzanu i Djouf znajduje się według ostatnich pomiarów na 120 metrów niżej poziomu morza; błotniste i słone trzęsawiska Djeni i Mehlriz sięgają 40 metrów. Zatym statki wielkich nawet rozmiarów kursować by mogły po morzu wewnętrznym, zastępując karawany wielbłądów, dotychczasowych okrętów pustyni. Wedłng obliczeń prof. Etchegoyen'a, na 8 miljonów kil. kwadr. ogólnej powierzchni Sahary przeszło 2 miljony znajdą się pod wodą.

Szczególny zarzut przeciw tym projektom wytacza prof. Mollendorff z Monachjum.

— Jeśli to przyjdzie do skutku, wówczas we Francji i Niemczech zapanuje klimat rosyjski. W Anglji, Belgji i Danji trudno będzie wytrzymać. Ludność porzuci miasta i wsie, pozostawiając je na pastwę białych niedźwiedzi, przybyłych z północy. Śnieg, padając trzy tygodnie na miesiąc w ciągu długiej zimy, zasypie gmachy i pomniki świetnej przeszłości, zaś mieszkańcy, o ile nie ujdą na południe, będą zmuszeni wieść tryb życia Eskimosów. Co gorsza: równowaga ziemi może być naruszona wskutek nagłego przelewu tak olbrzymiej masy wód...

Jeśli projekt francuski spotka się z tymi tylko zarzutami, to dzisiejsze jeszcze pokolenie oglądać będzie mogło tajemnicze miasto Timbuktu [z pokładu statków pasażerskich.

w Egipcie rozstrzygnął się pod Trafalgarem, gdzie potęga morska Francji strasznego doznała ciosu. I nie pomogły późniejsze wysiłki: mimo budowy kanału Suezkiego Francja nie mogła zawładnąć deltą Nilu, ani wyrugować stamtąd wpływów brytańskich.

Ostatni wreszcie zatarg w Faszodzie, kładąc kres przewlekłej waśni, wysunął plan podziału całej prawie północnej Afryki między dwa przyjazne odtąd mocarstwa. Z północno-zachodniej strony powiodło się Francuzom lepiej. W roku 1830-ym zdobyli oni Algier, a w pięćdziesiąt lat później zajęli i Tunis. Jednocześnie wzdłuż brzegów Senegalu i poprzez Kongo dążyły śmiałe drużyny do Sudanu, skąd rozciąga się już piaszczysty ocean Sahary do granic Algieru. W ten sposób zarysował się zwolna plan olbrzymiego państwa kolonialnego w Afryce pod berłem Francji.

Lecz na północno-zachodnim krańcu kontynentu Marokko jest niezbędnym tego planu uzupełnieniem. Na ten kraj, liczący 600,000 kil. □ obszaru i 10 miljonów ludności, dyplomacja francuska zwróciła wzrok badawczy.

W roku 1880 na konferencji Madryckiej 12 państw europejskich zyskało dla siebie pewne w Maroku korzyści. Lecz w r. 1891 stanął specjalny traktat między sułtanem Mulaj-Hassanem, a rządem niemieckim, który odtąd zbliska już czuwa nad Marokiem.

W r. 1894 wstępuje na tron Abdul-Azis. Niebawem Francja szeregiem traktatów i kompensat zyskuje od niektórych mocarstw specjalne w Maroku przywileje. W tym celu zawiera konwencje z Włochami (1901 r.), z Anglją (1904), wreszcie z Hiszpanją (1904).

Skończywszy te zabiegi, poczuli się Francuzi panami sytuacji. W następnym zaraz roku poseł francuski Saint Réné Taillandier domaga się od sułtana dobrowolnej abdykacji na rzecz Francji.

Tu jednak Niemcy dają znać o sobie. Dn. 6-go marca 1905 r. w urzędowej *Nordd. Allg. Ztg.* ukazał się artykuł wielce wojowniczej treści na temat ochrony interesów niemieckich w Maroku. Dn. 15 marca Bülow zażądał dla Niemiec „otwartych drzwi" w Maroku, zwracając się zarazem do sułtana z prośbą o zwierzchniczą nad interesami Niemców opiekę, co było dla dyplomacji francuskiej afrontem już bezpośrednim.

Nie dość na tym. 31 marca Wilhelm II zwiedził demonstracyjnie Tanger i złożył hołd przyjaźni sułtanowi, jako niezależnemu władcy wolnego kraju.

Ten krok wywarł wrażenie piorunujące. Sułtan Abdul-Azis odrzucił wręcz propozycje francuskie, żądając konferencji międzynarodowej dla rozpatrzenia kwestji spornych. Następuje ostre przesilenie w Paryżu: d. 6 czerwca Delcassé podał się do dymisji, a jednocześnie Bülow otrzymał tytuł książęcy.

Nowy gabinet Rouvier'a wszczyna serję rokowań, uwieńczonych konferencją międzynarodową w Algeciras (od 26 st. do 31 marca 1906 r.). Uchwały tej konferencji, zatwierdzone d. 7 kwietnia, przyznają *równe prawa* w Maroku dla wszystkich państw, oddając Francji i Hiszpanji pieczę nad porządkiem w tym kraju, wszelako pod zwierzchnictwem sułtana.

By sprawować w jakimś kraju funkcje policyjne, trzeba do niego się dostać. W marcu 1907 r. zajmują Francuzi Udżdę, a d. 31 lipca tegoż roku, po krwawych zajściach w Casablance, bombardują to miasto i zajmują całe przyległe terytorjum.

Utrzymać porządek było coraz trudniej, w Maroku wybuchła wojna domowa. Na sułtana Abdul-Arisa powstał zbrojnie brat jego Mulaj-Hafid i d. 17 sierpnia 1908 roku strąca go z tronu; Niemcy uznają go skwapliwie za prawego władcę.

W tym czasie w Casablance wynikło groźne starcie między Francuzami i Niemcami z powodu trzech dezerterów z legji cudzoziemskiej, będących pod opieką konsula niemieckiego. Sprawę rozpatrzył sąd rozjemczy w Hadze.

Wkrótce potym ks. Bülow wszczął nowe z Francją rokowania, przyznając jej prawa polityczne do Maroka wzamian za przywileje ekonomiczne dla Niemców. Zaniepokojona tym Hiszpanja rozpoczęła na własną rękę okupację Riffu, gromiąc Berberów „by dopomóc sułtanowi w dziele zapowiedzianych reform". Ze swej strony Francja wysyła do Maroka 40,000 ludzi, i staje pod murami Fezu, by zapewnić bezpieczeństwo tamtejszych Europejczyków.

D. 30 kwietnia 1910 r. w *Nordd. Allg. Ztg* zjawiło się ostrzeżenie, iż Francja pochodem na Fez gwałci tekst uchwał algeciraskich, co zmusić może Europę do ponownego postawienia kwestji na porządku dziennym. D. 1 lipca *Pantera* nagle zjawia się w porcie Agadir i zatarg marokański wchodzi w ostrą fazę, która skończyła się, jak wiadomo, klęską dyplomatyczną Niemiec.

Paryż, 8 listop.

Henryk Haber.

KRYTYKA.

„Cyganerja Warszawska"

w książce i na scenie.

2)

(Dokończenie).

Doprowadził do Cyganerji prąd charakterystyczny, jaki w młodym pokoleniu literatów warszawskich zapanował około roku 1840. W szeregu twórców jej byli Cyprjan i Ludwik Norwidowie, Roman Zmorski, Seweryn Filleborn, Włodzimierz Wolski, Teofil Lenartowicz, August Wilkoński, i inni już zapomnieni lub na zapomnienie skazani.

Życie ich upływało w nędzy, najczystsze myśli ich szły w poniewierkę, marzenia legły w błocie; każdy ich krok opętała pospolitość, na oczach ich siadła szarzyzna, przeistaczająca świat w dręczącą marę, a ludzi w manjaków. Trudno wyobrazić sobie posępniejsze marnotrawstwo ducha, rozpaczliwsze wzloty i głębszy upadek, głębszą i ciemniejszą niedolę, niźli ta, która po dniach burzliwych, stała się ich udziałem ostatecznym o schyłku życia. Ci ludzie dla swych współczesnych byli pośmiewiskiem; dla potomnych zaś stali się przedmiotem politowania, jeśli nie wzgardy lub niechęci.

A jednak po przez ów żal, jaki w nas budzą, po przez wzgardę, po przez osad goryczy, przedziera się ku nim z serca naszego jakieś światełko życzliwości, jeśli nie uznania i podzięki, to w każdym razie zrozumienia, odczucia i szacunku dla ich bólu, topionego w ohydzie, w rozpasaniu, w dziwactwie, w łzach bezprzytomnych i w pijackim śmiechu. Za to jedno, że nie byli szczęśliwi, za to jedno! niemal gotowi jesteśmy dzisiaj czoła przed nimi pochylić! Gryzł ich smutek podziemny i zwątpienie, ale smtuek i zwątpienie były to właśnie dwa najbardziej ludzkie w owej chwili uczucia. Dusze ich powiędły i spaczyły się wcześnie; aleć to świadczy, że do cennych i szlachetnych szczepów należały, skoro bez słońca, w lochu rozkwitnąć nie mogły.

„Był to w gruncie rzeczy obóz młodych entuzjastów, — powiada J. Kucharzewski, — poetów i demokratów, którzy swe pragnienia idealne i demokratyczne wyrażali w formie pogardy dla świata mieszczańskiego i przywdziewali maskę mizantropji i nieraz sztucznego cynizmu. Wiele ekscentryczności i dziwactw zwolenników cyganerji złożyć należy na karb ciężkich warunków politycznych, które nie po-

zwalały młodym siłom na rozwinięcie skrzydeł do lotu i na właściwe użycie energji ducha, a przeto wywoływały nastrój nudy i pesymizmu".

— Dziwacy, nędzarze, cynicy! — oto jak ich zwało otoczenie. Ale któż z nas dzisiaj nie pojmie, że cynizm ich był tylko zakapturzonym entuzjazmem, że był wiarą, która w złości i zaślepieniu chłoszcze sama siebie z trwogi, aby nie ozwała się głośno, że żyje; aby jej nie urągano, że żyje!

Ich cynizm, uzbrojony w śmiech sztuczny i w niemniej sztuczny, a żrący dowcip, był samoobroną dusz tkliwych przeciwko szakalom i hyjenom życia. Cynizm artystyczny!... O, jakże zawiłymi wąwozami uczuć dochodzi się do jadowitej jego kryjówki! Przez jakie szczyty dumy osamotnionej, przez jakie przepaści załomów czołga się zraniony duch poety nim pocznie z jego zatrutego zdroju gasić piekielne pragnienie? Cynizm poetów i artystów, złamanych przez życie, jakże często wydaje mi się tylko straszącym upiorem, zazdrośnie strzegącym wrót duszy, iżby w niej, jak w niedostępnej świątyni, biały anioł smutku lub tęsknoty sprawować mógł niepokalaną, nieziemską ofiarę piękna.

I takim tylko być mógł, jeśli był, osławiony ów cynizm Zmorskich Lenartowiczów, Norwidów i Wolskich. Nie z małpim zwierciadłem karykatury, ale z serdecznym współczuciem prawie powinniśmy stanąć wobec nizin jałowych ich życia, wobec ohydy ich upadku, bowiem ta jałowość i ohyda dla nich była — męką.

A nędza ich, owa ustawicznie rozwichrzona, śmieszna, poniżająca i bolesna nędza, czyż nie była tylko obłąkanym protestem, ciśniętym w ślepia szczęśliwego dosytu? Ich dziwactwo i ekscentryczność, czyż nie była jakoby rozpaczliwym, szalonym odwołaniem się do chaosu, gorączkowym apelem do drzemiących sił przewrotu, ukrytych w społeczeństwie? Ich zawadjactwo i przekora, czyż nie była, w ich oczach, dopełnieniem obrazu niedorzeczności, tkwiących w układzie ówczesnych sił i stosunków życia, ostatnią kroplą, mającą przepełnić czarę absurdów, zawartych w rzeczywistości społecznej i politycznej kraju?

Byli to dzicy i niepoprawni fantaści, to prawda, ale trzebaby jeszcze rozstrzygnąć, kto był fantastą większym: oni, czy też reszta społeczeństwa?

Któż, bowiem, z dwóch ludzi, w przededniu śmierci stojących, działa trzeźwiej: czyli ten, co widząc nieuchronność zguby, szuka zapomnienia w szale, czy też ten, co w obliczu śmierci sprawdza nikłe rachunki z ostatniego tygodnia?

Otóż społeczeństwo w swym układzie owoczesnym skazane było na zagładę, stało w przededniu wielkiego przełomu, który nowe żywioły społeczne miał do życia narodowego powołać: Skroś spękaną korę wierzchniej powłoki szlacheckiej, miał w rychle już przebić się i na arenę dziejową wystąpić nowy, świeży i czynny żywioł, — uwłaszczony i uobywatelony lud.

Któż tedy trzeźwiej patrzył w przyszłość? Czy ogół narodowy, broniący resztek starganej tradycji szlacheckiej, czy garść zbuntowanej cyganerji, za wszelką cenę usiłującej wyłamać się z panującego środowiska?

Jakże tedy cyganerja owa wygląda w sztuce p. Nowaczyńskiego?

Przedstawicielami jej są: Gorgonjusz, dyrektor *Dzwonu Nadwiślańskiego*, tudzież poeci—Kamil, Lesław i Zenon, obok nich Ryszard, pracowity garbus, tłomaczący pośród scen pijackich „Chatę wuja Tomasza". Są to wszystko postaci fikcyjne, stworzone po części z rysów należących do osób rzeczywistych, ale przeważnie powstałe z leczniczo-satyrycznej papki, wyrabianej przez p. Nowaczyńskiego na użytek małych i dużych niemowląt.

Autor mógł nie dbać o prawdę historyczną w odtwarzaniu ludzi i epoki; pozacierał on i pozmieniał nietylko imiona, ale i oblicza osób historycznych, — i uczynił doskonale! Niemniej wszakże mamy prawo żądać odeń prawdy psychologicznej, prawdy życia, żądamy zaś przedewszystkim, aby poruszające się w sztuce postaci były ludźmi interesującymi. Ich myśli muszą się stać dla nas godnymi przemyślenia, ich uczucia godnymi współdźwięku.

Autor chciał pokazać nam ludzi nieciekawych! — powie ktoś: chciał sworzyć dramat pustyni myślowej i szarzyzny uczuć!

— Dobrze! — odpowiemy na to: wszakże pustka i szarzyzna winny się znajdować w przedmiocie, ale nigdy we wrażeniu artystycznym, które ów przedmiot daje. Wrażenie musi być zawsze pełne, zawsze żywe, zawsze imponujące.

Gdyby cyganerja warszawska tak przedstawiała się ongi w życiu, jak dziś maluje się w sztuce p. Nowaczyńskiego, toby o niej wcale nie było teraz mowy; jej sława nie wykroczyłaby po za domostwo szewca Klepackiego i szynkownię Tanty Salomy, a już napewno nie skusiłaby wybrednego talentu pisarza, który tryumfy swe przywykł dzielić z Wielkim Fryderykiem i Wielkim Samozwańcem. Pamięć o nich zaginęłaby tak, jak o setkach tysięcy birbantów, błaznów i rymopisów, oddających pieśni za nalewkę.

Bohaterowie sztuki w pierwszym akcie są głodni; w drugim jadą do pułkownika w gościnę aby się najeść, napić i poromansować; w trzecim—trawią ucztę i jej rozkoszne wspomnienia; w czwartym — znowu są głodni. Zasłona spada. Cykl ewolucji zamknięty. Że ewolucja pewnego rodzaju tu zaszła, każdy przyzna; ale, przecież nie *ewolucja ducha*!

Po za tą akcją zasadniczą, sztuka obfituje w liczne dygresje natury epickiej i lirycznej. Na początku poeci wyrzucają gospodarza za próg; na końcu gospodarz wyrzuca z mieszkania poetów. Dlaczegóż jednak obie te sceny stają się bez humoru i wdzięku, na jaki pozwolić sobie umiał nawet tak beznadziejny cygan, jak Światecki w noweli Sienkiewicza? W środku sztuki stara panna pada ofiarą qui pro quo, sporządzonego wedle starej, ale nie bardzo dobrej recepty Korzeniowskiego. W trzecim akcie Kamil wyjeżdża za granicę; wszyscy, prócz czytelnika, żegnają go ze łzami; w czwartym akcie Kamil nie wraca, i tym nieco rehabilituje się w oczach czytelnika, który słusznie podejrzewa, iż Kamil nie wraca dlatego, ponieważ nie chce się więcej spotkać... z panem Nowaczyńskim.

O znamiennym ubóstwie wyobraźni autora świadczy przykry fakt, że aż w pięciu czy sześciu miejscach spotykamy ten sam motyw humoru, oparty na „przeczyszczaniu" języka z obcych naleciałości.

Końcowa wreszcie dygresja liryczna, włożona w usta Ryszarda, jest słuszna w treści i mocna w formie, ale przecież znamy ją już na pamięć z „Meandrów". Przed samozwańczymi prorokami poezji, fantazji, czułostkowości, czczego sentymentu i gromkich słów ostrzegał nas już dziesięć lat temu Wyspiański; przecież to on już wskazywał na niebezpieczny posiew tego kąkolu, o którym prawi p. Nowaczyński, i z żarem bólu piętnował epokę, w której

stawał się naród, jak ugorne pole,
że chwasty kłosom przerosły głowami,
głuszące czysty siew coraz hałaśniej, —
że już zaczęto ze zbóż plewić role.

(Kazimierz Wielki.)

O rozstrajającym wpływie muzyki Szpenowskiej na energję i tęgość duszy narodowej pisał już Słowacki w listach swych do matki. To więc, co poniekąd jest w sztuce Nowaczyńskiego słuszne, nie jest ani nowe, ani oryginalne.

Uboga ideowo, sztuka p. Nowaczyńskiego jest zarazem, artystycznie, blada i nieciekawa. Na języku, jej znać przymus i anemję: całe szeregi zdań cieką jak woda, lub przesypują się jak piasek. Odejmijmy Gorgonjuszowi pięć czy sześć szablonowych facecji, polegających na budowaniu nowotworów językowych, a odrazu się okaże, iż ów człowiek nie ma nic nam do powiedzenia, nie nosi w sobie żadnej treści wewnętrznej. Dużo się mówi o bogactwie szczegółów charakterystycznych w utworach p. Nowaczyńskiego, o barwności tła, przepychu akcesorjów, mających zastępować i mnogością rzutów równoważyć brak jednolitego rysunku osób i zdarzeń Jaką atoli uderza charakterystycznością monotonja ciągłego przekomorzania się Zenona ze swą bogdanką Andzią, na tle nieustannych dwuznaczności językowych? — Monada-nomada, pobierzemy się-popierzemy się, podmiot-pomiot: jeżeli to są przyczynki charakterystyczne, to mogą one charakteryzować jedynie słowozbiór języka polskiego, ale wnętrza duszy ludzkiej przed nami nie otworzą. Jakkolwiek by płytkie, śmieszne, spaczone, były dusze cyganów, trzeba dusze te poznać i ukazać; skoro zamiast duszy, obdarza się postaci sztuki kombinacjami wyrazowymi, to właściwie, tym samym abdykuje się z aspiracji twórczych.

Po wybitnym powodzeniu *Cara Samozwańca, Wielkiego Fryderyka* i *Boga Wojny*, *Cyganerja Warszawska* spada z powrotem do bardzo nizkiego poziomę początkowych dramatów p. Nowaczyńskiego, jak *Smocze Gniazdo* lub *Rey w Babinie.* Talent autora święci prawdziwe tryumfy tam, gdzie, stając wobec charakterów gotowych, w historji utrwalonych, poprzestać może na rozpięciu wokół nich groteskowej przędzy karykatur, na chwytaniu ich fizjognomji i ruchów w swoje krzywe zwierciadła satyryczne. Z kontrastu między wizerunkiem historycznym tej lub owej postaci,a jej odbiciem w sztuce autora, rodzi się wówczas interesujący i szczególny efekt artystyczny, trzymający uwagę widza na uwięzi podczas przedstawień *Fryderyka*, lub *Samozwańca.* Bohaterowie Cyganerji, natomiast, nie istnieją w historji jako osobowości określone i dobitne; ich charaktery należało wyciosać z brył surowego materjału, t. j. należało wykonać zadanie, leżące, zupełnie poza granicami twórczości p. Nowaczyńskiego.

* * *

Przykre i nużące wrażenie, jakie zostawia książka, usiłuje rozproszyć i, po części, rozprasza zwycięsko — scena. Ale też z chwilą, gdy podnosząca się kurtyna odsłania wnętrze cygańskiego poddasza na Starym Mieście, możemy mówić już tylko o aktorach i bawić się w ich towarzystwie, zapominając z lekkim sercem o autorze. Wszystko, co ze sceny przemawia nam do mózgu lub serca, co z duszy promienieje prosto w duszę, co nas cieszy, gniewa, smuci lub zachwyca, to wszystko jest wyłączną inwencją kilku artystów, obdarzonych taką potęgą życia i twórczości, że nawet martwe lub martwiejące sztuki dźwigać potrafią, napełniać je gwarem wzruszeń i myśli.

Pan Roland w suchą, szkieletową postać Zenona tchnął tyle zapału, że publiczność Teatru Rozmaitości, co dnia, patrząc na deski sceniczne staje się niemal świadkiem i uczestniczką cudu: bo cudem trzeba nazwać to, iż w piersi papierowej bić może serce żywe i gorące.

Pan Frenkiel zdawna stał się mistrzem i niepororównanym władcą słowa, gestu i postawy, artystą, którego na scenie wita grzmienie podziwu, a odprowadza ze sceny niemy zachwyt. O ile więc Gorgonjuszem nie bardzo szczycić się może p. Nowaczyński, o tyle sam Gorgonjusz dumny być może z Frenkla, który w części przynajmniej krzywdę przez autora wyrządzoną w oczach widzów mu wynagrodził.

W samym końcu dopiero należy mówić o panu Brydzińskim, gdyż jego gra jaśnieje tak natężonym blaskiem olśniewającego piękna, że po niej nic już widzieć i już o niczym więcej, w owej sztuce, mówić niepodobna. On to dramatowi p. Nowaczyńskiego daje owe dziwne, łudzące pozory głębi społecznej, on przenika go tętnem twórczym, uposaża to dzieło w powagę, w polot, w myśl szeroką i doniosłą, bo, powiedzmy to otwarcie, Gorgonjusze, Zenony i Lesławy istnieją dla widza o tyle, o ile załamują się w pięknej, skupionej duszy Ryszarda-Brydzińskiego. Jego to tylko żar i tylko jego siła natchnienia staje się dla sztuki wstęgą ognistą, wiążącą podarte strzępy dramatyczne w całość jednolitą.

W. Rzymowski.

Wrażenia z Wystawy.

Gawiński? Cóż to za człowiek? Trzeba zerwać z przesądem, który pyta: cóż *to* za malarz? Nie malarza szuka się, lecz człowieka. Dlatego, że ktoś został malarzem, nie podobna odsadzać go od człowieczeństwa. Ma on te same przywileje i obowiązek, co każdy inny. Wychodzić należy z zasady takiej: jeżeli ten człowiek jest dobrym artystą-malarzem, to jego skojarzenia barw, światła i cienia powinny wyznać o nim prawdę: one powiedzą, kto on jest i w jakim świecie żyje. Powiedzą nietylko dzięki jego zaletom, ale i poprzez wady. Wykażą rozkład światła i cieni w jego strukturze psychicznej, stopień jego energji, popęd, dążności lub zastój. Krytyka, która ocenia jedynie technikę malarską, prowadzi do tego, że malarze poczynają się uważać za grupę wyodrębnioną, za wysepkę, do której stosuje się inne wymaganie, niż do reszty ludzi. Zaczynają się mieć za wirtuozów, za przełamywaczy trudności za pyrotechników, skoczków na linie i połykaczy ognia. Słowem, obok światka aktorskiego tworzy się światek malarski w którym — jak w każdym zakątku, krzewi się przesąd, zaniedbanie intelektualne, nieznajomość prądów literackich i filozoficznych. Krytyka powinna stawiać pytanie: jaki udział w życiu epoki bierze malarz? Jakie są pierwiastki jego charakteru psychicznego? Jakie idee i uczucia?

* * *

Świat stoi przed artystą otworem, Chodzi o to, co on ze świata wybierze. Wybór—oto chwila, przed którą nieraz wzdryga się artysta: określa się bowiem przez wybór, czym artysta jest i czym, niestety, nie jest. Wybór ukróca wybujałość nieokreślonych marzeń o sobie. Jest on próbą ogniową. Trzeba mieć dużo męstwa, gdy się czyni wybór: zdarzyć się może, że natychmiast po nim następuje zaplątanie się w sieciach własnych, z których wyplątywać się trzeba długim mozołem. Ogląda się również przez wybór swoją Ziemię Obiecaną. Jaką jest Ziemia Obiecana Gawińskiego?

Gawiński — to marzyciel. Marzycielstwo jest żądzą odpoczynku na jakiejś łące dalekiej, z tęczą nad głową. Jest ona — pomimo łagodnego pozoru— rzeczą okrutną: wyodrębnia się dusza ludzka i pije chciwie łagodne szmery, kaskady, szepty, ciche obietnice, słoneczne olśnienia, choćby obok lała się krew, wyła rozpacz, broczyły się rany. Twardy charakter życia spoczywa na okrutnych kontrastach i ostatecznie, gdyby wszystkich porwała fala grozy — ludzkość nie skorzystałaby na tym bynajmiej. Dobre są i uśmiechy, szepty, tony skrzypcowe, drzewa, mżące miodem promieni słonecznych. Skoro wśród twardych, okrutnych warunków istnienia wykwitają upojenia, śpiewy tryumfalne, skoro ludzie śmieją się i pląsają, to świadczy to tylko o żywiołowej potędze życia. Gawiński jest poetą tych chwil, kiedy w czło-

wieku przesili się troska, mozół, trud, zapanuje marzenie, zalśni miłe upojenie. Kiedy człowiek jest szczęśliwy, niepomny. Oto jego korowód taneczny: młode piękne kobiety tańczą wdzięcznie wzdłuż wirydarza, poza którym zdala-zdala widnieje miasto, ale oczyszczone przez oddalenie ze swych kurzów i łomotów. Ten obraz pozwala uchwycić na gorącym uczynku upodobanie artysty: do upojeń łagodnych, wśród których niemal odpoczywa się harmonijnie, które nie trawią. Lecz kto raz zakosztował słodyczy tego trunku, kto raz stworzył olśniewająco widzenie szczęścia — najczęściej powraca znów do tego źródła. Tak zwolna stać się można nałogowcem. Pamięć rozkoszy przeżytej woła, aby zakosztować jej raz jeszcze... Gawiński wraca do rzeczy przeżytych. W „Cogito ergo sum"—daje zakątek na tle przyrody. Dziwny spokój drzew rozzłoconych Przy stole mędrzec z księgą Platona. Pogrążył się w sobie. Łagodna błogość, słoneczna melancholja bytu. Rzecz charakterystyczna: mędrzec raczej odpoczywa, niż pracuje myślą. Puścił wodze myślom i one poszły luzem. Niema w nim żywiołu dramatycznego. Niema męki wobec milczenia przyrody, lecz bodaj że błoga, kwietystyczna rezygnacja. Ten mędrzec raczej *bytuje* niemal tak, jak ów puhar, który jakby z lenistwa obalił się i leży bokiem. W obrazie innym: Rycerz bez trwogi i skazy — otwarte, szlachetne męstwo w pięknej postaci, lecz znowu nie w chwili bohaterstwa lecz jako owoc już dojrzały, w momencie równowagi. W całym cyklu obrazów Gawińskiego nie znajdzie się: burzy, trwogi, rozpaczy, czynu, dramatu.

Uśmiechają się za to: chwile błogości, zapomnienia, groteski, swobodnego oddechu. Przemycają się lękliwie wzruszające maleństwa, uosobienia niewinnej dobroci—wobec jakiejś wróżki leśnej, napastliwej zapewne lecz tak niezdecydowanej w ruchu, że niechybnie mała dobroć umknie szczęśliwie przed zawiścią.

Na granicy pomiędzy światem jawy a urojeniem stoi piękna *Arkada* — dzieło sztuki ludzkiej, nie oddająca jednak swego twardego ciała pod pożytek stopy człowieka, lecz jedynie zawieszona wśród pieszczotliwego szmeru drzew. Oto ręka Gawińskiego: pieścić poczyna wszystko, do czego się dotknie!

W obrazach takich jak „Koło Wróżek" Gawiński wykracza ze świata realnego w świat urojenia. Trzeba tu zamienić urojenia w realność lecz w realność nie zbyt krwistą i pulsującą, gdyż inaczej zniknie różnica między jawą a przywidzeniem, między spostrzeganiem z otwartymi przytomnie oczyma, a tęsknotą do widzenia dalej, niż sięga wzrok. Gawiński oddaje tę różnicę za pomocą przyćmienia barw. Lecz barwa spłowiała, blada, anemiczna, dążąca do białej, jest zawsze barwą umierającą. Przez zestawienie takich barw spłowiałych, wymokłych, jak topielce, niepopartych żadną barwą żywą, odbiera się wrażenie świata zanikającego, kruchej rozwiewności, niedołęstwa. Tymczasem świat widzeń i snów wdziera się zazwyczaj do świadomości w tempie gwałtownym, z przemocą, która budzi nieraz grozę. Naogół biorąc — widzenia są raczej okrutne, niż miłe. Gawiński rozciąga i na nie mdłą łagodność.

* * *

Wawrzeniecki już na pierwszy rzut oka objawia się jako natura męzka, ponura, bez uśmiechu. Z jego obrazów z dziedziny prasłowiańskiej wieje coś szyderczo zakrzepłego, zimnego, okrutnego. Przykra to technika. Spotykają się tu surowe dysonanse i kontrasty: barwy leżą obok siebie w milczeniu, rozciągają się zimnymi jednostajnymi pasami, jak zwoje gadów. Gdzież podziały się harmonje stopniowego zlewania się barw, przenikania wzajemnego kolorów— obraz łączności i braterstwa żywiołów. Barwy są tu sobie obce, zakrzepłe w osamotnieniu. Atmosfera, jaką wytwarzają te zestawienia, jest zimna. Nie czuje się tu ruchu, pulsowania, ciepła słonecznego, lecz raczej światło zimne jakiejś gwiazdy umierającej — światło nie po to, aby życie się pleniło, lecz aby oblać blaskiem ołowianym arenę świata.

I nagle przychodzi zrozumienie idei artysty: że wszystko jest wiekuiście samotne, jak te barwy zastygłe, nie łączące się ze sobą. Arena świata jest nieczułą lodowatą widownią istot nieuleczalnie samotnych, obcych sobie, ślepych w stosunku do siebie. Tę ideę przetrawia Wawrzeniecki zapamiętale.

Pustelnica klęczy na brzegu urwiska i modli się do swego Boga. Lecz i ciemne urwiska i tarcza czerwona, wisząca na widnokręgu, jak olbrzymie oko krwią nabiegłe, milczeniem mówią, że wszystko napróżno. Ta sama idea powtarza się w „Skazanej", zamkniętej w olbrzymiej grocie lodowatej i w innym obrazie, gdzie człowiek dźwiga krzyż wśród odpychających oschłych wzgórz. Nigdzie nadziei, uśmiechu, zbawienia.

Najczęstszy temat obrazów Wawrzenieckiego jest taki: kobieta w krwawych szponach przemocy. Ofiara przesądu lub winowajczyni w rękach sprawiedliwości. Przytym — nigdzie ani śladu glorji nad głową sprawiedliwości. Przeciwnie: z jednej strony poddanie się bierne, rozpaczliwe załamanie się — z drugiej krwiożercze chłonienie, łapczywe chłeptanie rozkoszy, mlaskanie z sadystycznej lubieżności, lub lodowata, szydercza obojętność. Istota samotna, wydana na łup innej samotnej istoty, która nim sama utonie w śmierci, syci się i żyje krwią, męczarnią i śmiercią innych. Ponieważ ofiarą jest zawsze kobieta, więc zapewne w umyśle Wawrzenieckiego łączą się popędy kanibalskie ludzkości z najtajniejszymi misterjami żądz płciowych.

Ideę nienasyconej niczym wrogości ludzi wyraża Wawrzeniecki po wielokroć. Chłostana zakonnica, wyświęcana z miasta dziewczyna upadła, winowajczyni prowadzona na stos, męczennica, poprzeszywana strzałami i zbroczona strugami krwi, zawieszona nad przepaścią — oto wielokrotne przerabianie jednej napastliwej idei ludożerstwa, tkwiącego dotąd w przew przepaściach duszy ludzkiej.

Potym, co się rzekło, nie będzie chyba niespodzianką twierdzenie, że rozpatrywani ze stanowiska nieskrępowanej niczym energji i dążności obaj artyści: Gawiński i Wawrzeniecki—stoją w miejscu. Gawiński dlatego, że nie przezwyciężył w sobie ochoty do pieszczenia się, do upajania szmerem gałązek i grą na flecie — Wawrzeniecki dlatego, że wpadł w osłupienie wobec dwóch idei: osamotnienia człowieka i okrucieństwa ludzkości.

Leon Choromański.

Przegląd muzyczny.

Warsz. Ork. Sym. rozpoczęła cykl koncertów, poświęconych twórczości wielkiego mistrza rosyjskiego Piotra Czajkowskiego (1840—1893), na których usłyszeć mamy wszystkie jego symfonje.

Pierwszy z tych koncertów odbył się już wobec licznego audytorjum i zawierał w programie symfonję pierwszą („Zimowe marzenia"), napisaną w r. 1868. Jest to utwór wybitnej wartości artystycznej, chociaż z natury rzeczy jako dzieło talentu niezupełnie jeszcze rozwiniętego ustępuje pod niejednym względem symfonjom ostatnim. Z czterech części symfonji g moll najpiękniejszą bodaj jest część druga, posiadająca motto „ponury kraj, mglisty kraj", która też w wykonaniu Warsz. Ork. Symfon. pod dyr. p. Zdzisława Birnbauma wypadła najlepiej.

Utalentowany ten kapelmistrz, który potrafił już zaskarbić sobie życzliwość i uznanie naszej publicz-

ności, jest muzykiem o wielkiej kulturze artystycznej, przytym dyrygentem wykształconym, posiadającym wszechstronną znajomość swej sztuki, którą traktuje z niezwykłym zapałem i zamiłowaniem. Pod jego kierownictwem orkiestra brzmi znakomicie. Zasługuje zwłaszcza na uznanie umiejętne bardzo ustosunkowanie siły brzmienia poszczególnych grup instrumentów, dzięki czemu wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły, przechodzące często niepostrzeżenie, brzmią jasno, plastycznie, potęgując piękno wykonywanego utworu i nadając mu jakiś nowy, nieznany charakter.

* * *

O działalności naszej sceny operowej niewiele mamy tym razem do powiedzenia. W dalszym ciągu grana jest nowa opera Puccini'ego „Dziewczyna z Zachodu", pozatym wznowiono kilka oper z dawniejszego repertuaru. Usłyszeliśmy więc ładną operę Massenta „Werther", w której partję tytułową odtworzył doskonałz tenor liryczny p. Giovanni Gensordi, a partję Carlotty p. Jadwiga Lachowska, utalentowana śpiewaczka. Wznowiono też przepiękne dzieło Czajkowskiego „Eugenjusz Oniegin", z p. Brzezińskim (nadzwyczaj ładny baryton) w roli tytułowej, a w operze „Manon" Masseneta rozpoczęła występy gościnne wybitna śpiewaczka włoska p. Cervi-Caroli, którą poznaliśmy w zeszłorocznym sezonie, jako artystkę, obdarzoną silnym, dźwięcznym głosem i wybitnym nerwem scenicznym.

A. Zabłocki.

NA DOBIE.



Teatr Mały w Warszawie.

Nie jestem wrogiem p. Zalewskiego, gdyż nie mam do nienawiści najmniejszego powodu, nie jestem jednak z tych samych względów jego przyjacielem. Być może, że byłby to zaszczyt dla mnie zbyt wielki, w każdym razie zanadto obowiązujący. Dlatego z prawdziwą radością mogę zaznaczyć, że moje stanowisko obojętnego widza pozwala mi p. dyrektorowi *Teatru Małego* zadać kilka pytań i postawić kilka zarzutów, które pro publico bono — narodziły się z zupełnej szczerości.

Od kilku lat, w małej sali, dawniej kameralnej Filharmonji, istnieje teatr, przez założyciela, nieżyjącego już Marjana Gawalewicza nazwany *Małym.*

Ludzie dobrej woli i pamięci mogą bez żadnego kompromisu powiedzieć, iż był czas kiedy mały teatrzyk nie kompromitował Warszawy, a nawet wystawiał sztuki starannie i dobre. Działo się to w pierwszych latach kierownictwa Gawalewicza. Po pewnym czasie jednak wybitniejsi artyści wyemigrowali do większych teetrów, a z nowozaangażowanych nie udało się już wykrzesać tego zespołu co dawniej. Nowe niegdyś dekoracje, przeżywszy swój czas, „zaczęły chylić się ku upadkowi" często w dosłownym znaczeniu i to podczas przedstawienia; repertuar coraz bardziej dorywczo układany — zawodził, słowem powoli, ale stanowczo, teatr Mały Gawalewicza przestawał istnieć. Naganka prasy, a zwłaszcza nieprzebłagana surowość p Lorentowicza, pisującego sprawozdania teatralne, zniechęciły do tego stopnia kierownika tego jedynego w Warszawie teatru prywatnego, że za „psie pieniądze" jak się to mówi, sprzedał teatr t j. odstąpił kontrakt z Filharmonją, wszystkie dekoracje. artystów, publiczność, słowem całą swoją kilkoletnią pracę p. Zalewskiemu, który jako w swoim czasie naprawdę pierwszorzędny komedjopisarz, wówczas piastował dosyć wyszukaną i wątpliwie zaszczytną godność kierownika szkoły Aplikacyjnej przy Warsz. Teatr. Rządowych.

Występy tej szkoły na popisach, jeszcze przed objęciem Teatru Małego, jako też kierownictwem teatrem Rozmaitości, przez pewien czas krótki, ale wymowny przekonały wszystkich, że p. Zalewski, pod żadnym pozorem, nie powinien być kierownikiem teatru. Ludzie dobrej woli, rozumiejący wartość takiego teatru, jakimby mógł zostać teatr Mały, teatr prywatny odciągający gorączkę niewyrobionych utworów od sceny warszawskiej, dający pole do popisu młodym, utalentowanym aktorom, otwierający na oścież bramy swoje dla utworów orginalnych i dla tych, które niezawsze kwalifikują się na deski teatru oficjalnego, ci ludzie, trzeba przyznać, trafnie przewidujący przepowiadali ruinę ostateczną!

I stało się to, co się stać musiało! *Teatr* przestał istnieć! Z chwilą objęcia teatru przez p. Zalewskiego zaczęła swoje popisy szkoła aplikacyjna, rozpleniły się namiętności dylentantów, którzy poza kilkoma aktorami prawdziwego talentu jak p. Orliński i Zieliński stanowili zbitą masę nieużytków!

Takimi siłami, zaczęto wystawiać najrozmaitsze sztuki, bez żadnych idei reżyserskich, po kilku próbach, nie umiane i niepoparte nawet możliwie znośnymi dekoracjami! Od tej chwili, zaczęła się orgja protekcji niektórych sprawozdawców, który złączeni węzłami przyjaźni, całą imprezę traktując pobłażliwie ku hańbie Warszawy, popierali teatr prowadzony ohydnie, będący niemal wyzyskiem publiczności, która w dobrej wierze i nieświadomości nosiła i nosi tam swoje pieniądze. Głosy protestu prasy tygodniowej i postępowej ginęły w morzu zachwytów rozmaitych panów Dworzaczków, którzy obierali sobie często za punkt wyjścia dyletancką grę młodych aktorek, obarczając je wyszukanymi pochwałami, nie wahając się nawet wspominać o przesuwającym się „duchu Wisnowskiej", z racji gry p. Mili Kamińskiej utalentowanej niezaprzeczenie, lecz zwłaszcza w tym czasie grającej po amatorsku!

Bezwstyd p. Zaleskiego, który ufając w poparcie *Kur. Warsz.* nie zawahał się nigdy, przed żadną „niesprawiedliwością wewnętrzną" — doszedł chyba zenitu, wprowając na pierwsze miejsce aktorkę, która będąc z pochodzenia cudzoziemką *nie mówiła dobrze po polsku!* Mieliśmy wówczas oryginalne widowisko i nie tylko na scenie, bo oto sprawodawca najpopularniejszego i najkonserwatywniejszego pisma, nie omieszkał pochwalić niepowołanej aktorki, zapominając łatwo o tym, co było obowiązkiem, i jest obowiązkiem każdego krytyka, aktora i kierownika teatru. Obowiązek silnego przestrzegania czystości mowy polskiej w polskim teatrze, nie jest chyba zbyt uciążliwy i zbyt niewdzięczny, a jednak słowa stanowczego protestu, przeciw kaleczeniu publicznie pięknej mowy polskiej, nie zjawiły się tam, gdzie tak często mówi się o patryotyzmie i obowiązkach obywatela.

Satelici p. Zalewskiego, z racji jego świetnej przeszłości w komedji polskiej, aprobujący jego obecną działalnośc bez zastrzeżeń, zapewne nie zdają sobie sprawy, jak wielką krzywdę kulturze teatralnej czyni taki teatr, jakim obecnie jest teatr *Mały.* Czyż nie szkoda pracy i talentu niektórych artystów, szamocących się w sieci starczego głupstwa bez nadziei lepszej przyszłości? Czyż nie szkoda pieniędzy i miejsca zajmowanego przez imprezę człowieka, który teraźniejszości swej nie może usprawiedliwić?... Czyż nie lepiej żeby *wcale* nie było teatru w małej sali Filharmonji, niż teatr, który nie wstydzi się zachęcać publiczności wzmiankami, że w tej a w tej sztuce, wystąpią *3 najładniejsze aktorki?* Co to ma znaczyć?

Odsłońmy przyłbicę, kryjącą zamiary p. Zalewskiego! Jeżeli pod nią ujrzymy na mgnienie choćby sfinksowe oblicze sztuki, nie ordynarny handel, jedno

drżenie prawdziwego artysty, nie spekulację przedsiębiorcy, będziemy mieli możność usprawiedliwić przynajmniej w pewnej mierze istnienie teatru, bez żadnych zewnętrznych warunków. Lecz dzisiaj, przyszedłszy na przedstawienie teatralne p. Zalewskiego, nikt nie ma obowiązku nie załować swoich pieniędzy rzuconych na marne! Za kurtyną teatralną nie istnieją żadne ideały! Między obszarpanymi kulisami nie płonie zapał miłości do istotnego piękna: to teatr dochodowy, stworzony dla zysków, czy ambicji jednego człowieka, i jako taki zasługuje na bezwzględną ocenę, jak każde przedsiębiorstwo publiczne! Nie powinna istnieć pobłażliwość dla kupca, który daje nikczemny towar za dobre pieniądze! Jeżeli taki handlarz istnieje w zwykłych warunkach, kiedy chodzi o przedmioty codziennego użytku, nikt się nie waha okazać mu swego niezadowolenia. Wobec tandety p. Zalewskiego jednak, kiedy w grę, prócz zysków i korzyści materjalnych, wchodzą jeszcze pierwiastki duchowego rozwoju polskiej kultury, nikt nie ma odwagi powiedzieć: Precz z niewłaściwym kramarstwem! Nie jesteśmy Zulusami, aby nam szkło dawali za djamenty!

P. Zalewski drwi z publiczności swoim niedołęztwem, a publiczność chodzi, zachęcana przez *Kur. Warsz.* P. Zalewski wystawia sztuki co raz gorzej, a *Kur Warsz.* pisze coraz pochlebniej. I tak będzie już do końca tego teatru, bo ci dwaj przyjaciele nie zdradzą się nigdy dla ideału prawdy i sprawiedliwości!

Prawdopodobnie słowa moje będą uważane za „brutalną napaść" lub coś w tym rodzaju.

A jednak niema w nich żadnej przesady. Teatr p. Zalewskiego mimo kilku utalentowanych aktorów i aktorek, jest... naprawdę ohydny! Taki teatr w mieście olbrzymim, jak Warszawa, jest tylko pośmiewiskiem.

Słowa moje piszę nie pod adresem publiczności, lecz pod adresem p. Zalewskiego i jego przyjaciół. Nie przypuszczam, aby mógł się znaleźć człowiek znający ten teatr, któryby mógł mi z czystym sumieniem zarzucić fałsz! W imię godności sztuki należy szukać wyjścia z fatalnej sytuacji. Czyż koniecznie teatr *Mały* ma uschnąć jak zaniedbana, robaczywa roślina? Czyż nie należy raczej albo dla niej znaleźć ratunek, albo ją wyciąć jeżeli się okaże, że roślina nie ma już kwalifikacji do życia. Bo tak, jak jest, jest źle i dłużej trwać nie powinno.

Stefan Kiedrzyński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Deklaracja nowego rządu* w piątkowej przemowie premjera kładzie kres pewnym nazbyt wybujałym nadziejom, jakie i u nas wiązano dowolnie z osobą następcy Stołypina. P. Kokowcew, traktując o kwestji finlandzkiej, pośpieszył zaznaczyć, że system jego poprzednika stosowany będzie w dalszym ciągu, acz „z mniejszym może talentem", względem kresowych „inorodców". Po tej deklaracji nie pozostało śladu z trwożliwej nieufności centrum i wrogich knowań prawicy; nowy rząd ma odtąd zapewnione poparcie wsteczników i nacjonalistów.

Z relacji piątkowych obrad opinja nasza dantejski wysnuła wniosek: *lasciate ogni speranza.* Wytrwali jednak optymiści twierdzą, że premjer inaczej postąpić nie mógł, by nie zrazić sobie większości, która mu jest na razie niezbędna, co nie przesądza dalszych jego kroków. Poniżej znajdzie czytelnik głosy w tej mierze ważniejszych organów naszej prasy.

* W *Gońcu* p. T. G. pod „podniesioną przyłbicą" premjera dostrzega bezwzględnie złowrogie dla nas oblicze nowego rządu.

Wystąpienie Kokowcewa rozpędza mglistą legendę. Obecny premjer oświadcza wyraźnie i stanowczo, że w kwestjach dotyczących jedności państwa i interesów narodowych, zamierza iść drogą swego poprzednika i chce przeprowadzić odziedziczone po nim projekty. Na potwierdzenie swego stanowiska, przy rozważaniu projektów finlandzkich, rozwinął argumentację, która pod względem napięcia nacjonalistycznego nie ustępowała wcale słynnym przemówieniom Stołypina.

Tajemnicza przyłbica, która w ciągu kilku tygodni zasłaniała polityczne oblicze premjera, została wreszcie podniesiona. Rozwiały się nadzieje i złudzenia postępowców rosyjskich tudzież obawy nacjonalistów.

* P. Bohdan Kutyłowski w *Słowie* usiłuje też odgadnąć „Oblicze nowego rządu" i w tym celu poddaje ścisłej analizie przemówienie premjera. Wyniki analizy są niepewne, stwierdza jednak p. Kutyłowski, że „coś się zmieniło ze zmianą osób" u steru państwa.

Mowa p. Kokowcewa nie tchnęła duchem niechęci i bezwzględności, nie była zaczepną, nie podniecała namiętności. Głosiła niezłomność woli Zwierzchniczej, stwierdziła, że rząd jest w zgodzie z opinją publiczną, ponieważ chodzi o interes żywotny państwa i ponieważ źródło tej opinji tryska z głębin ducha narodowego rosyjskiego. Zapewne, z wyjątkiem pierwszego, kryterja to względne i podmiotowe, ale bądźcobądź, jakieś kryterja, które nie z każdą opinją się liczą, choćby ją głosiły wróble na wszystkich dachach. Może dlatego właśnie uprzedzeni zawczasu nacjonaliści zmienili hasło „Rosja dla Rosjan" na inne już w swej istocie: „Rosjanie dla Rosji".

* P. Antoni Sadzewicz przyznaje w *Gazecie Warszawskiej*, że premjerowi powiódł się nadspodziewanie „egzamin" wobec areopagu zjednoczonej z centrum prawicy. Był to jednak „egzamin" dość osobliwy:

Wystąpieniem swoim Kokowcew zaszachował nacjonalistów i październikowców, sparaliżował wszelkie intrygi, które mogły zachwiać jego stanowiskiem, pozycję swoją u steru władzy niewątpliwie wzmocnił.

Zarazem jednak nowy prezes Rady ministrów zaciągnął wyraźne wobec kursu nacjonalistycznego zobowiązania, od których niepodobna mu będzie się uchylić.

* W *Kurjerze Warszawskim* p. Czesław Jankowski zwraca uwagę na zręczny manewr premjera, który za jednym zamachem wydarł p. Guczkowowi budowany mozolnie „blok" kosztem „inorodców", pozyskał w Dumie trwałe oparcie, trzymając ją zarazem w szachu.

Są, którzy nawet tym, co zaszło, nie byli pozbawieni — iluzji. Powiadają: tak, ani słowa, ma teraz premjer za sobą ogromną większość, zdobył sobie całe zastępy, gotowe iść za nim w ogień i wodę, i teraz Dumę prowadzi... dokąd zechce!

Prawda. Poprowadzi ją, dokąd zechce. Ale ręczyć można, iż nie poprowadzi jej na żaden grunt, na którymby ryzykował utracić większość w owej Dumie. W szachu i uległości będzie trzymana stara Duma tym, że nie będzie miała do rewoltowania się — żadnego powodu.

Podobny stan rzeczy przepowiada p. Cz. Jankowski na przyszłość dla nowej kadencji parlamentu, którego „dzięki Bogu, w Rosji niema".

* *Mistycyzm żydowski.* Dr. Henryk Nusbaum wygłosił niedawno odczyt w zamkniętym kole słuchaczy na temat mistycznych przeznaczeń dziejowych Izraela, który, ludem będąc „wybranym" powinien wyrzec się walki o sprawiedliwość doczesną i męczeństwo swoje znieść do końca. Ta dość niespodziewana w tym miejscu parafraza Tołstojowskiej tezy „niesprzeciwiania się złu" wywołała pewne zdziwienie, a nawet konsternację wśród słuchaczy, których imieniem zabrał głos na łamach *Izraelity* redaktor tego pisma w „Liście otwartym" do prelegenta stanowczo zbijając jego twierdzenia i do takich dochodząc wniosków:

gdyby cierpienia naszych przodków wraz z psychologją, jaką tworzyły, przekazywane być mogły z pokolenia na pokolenie z jednakową, niesłabnącą siłą, to może na tym ogromie bólu, moglibyśmy budować podobne do Twoich koncepcje przyszłości. Lecz tak nie jest. Na nas, ludziach ucywilizowanych, na naszej umysłowości nie ciąży już ta groza, jaka falą szeroką wzbierała w piersiach męczonych przodków naszych. Dziś cierpi lud, nie dlatego, że cierpieli jego przodkowie, lecz przez nędzę i ciemnotę. Chcemy lud wydobyć z otchłani nędzy i ciemnoty, odbierzemy mu też psychologję z takim jego stanem związaną, czyli osłabimy jeszcze bardziej tę tradycję cierpienia, a przez to samo oparte na niej wskazania ideowo usuniemy.

Wyrzekłeś słowa: „lud wybrany“. Wydaje mi się, że chyba już czas najwyższy z tym skończyć! Idea wybraństwa w ciągu szeregu stuleci była jednym z nienajsłabszych czynników odosobnienia żydów!...

Nawet tak wzniośle rozumiana, jak Ty ją rozumiesz, przełamując się przez pryzmat psychologji mas, wiąże się bezwarunkowo z fałszywym poczuciem wyższości, co nie może pozostać bez szkody i dla żydów i dla otoczenia.

Zwracajmy się do żydowskiego ogółu z nakazami etycznymi, wskazujmy drogi życia szlachetnego, lecz nie jako ludowi wybranemu, bo wszystkie narody na jednakie szczęście zasługują i jednakie obowiązki w imię dobra powszechnego spełniać winny.

Do tych słusznych uwag dodać należy jedno spostrzeżenie. Judaizm, którego wielkiej roli dziejowej (kult jednego Boga) nikt nie zaprzecza, jest dziś dla wyznawców swoich nietyle religją, ile „nieszczęściem“, według śmiałej ekspresji Heinego. Owo nieszczęście, między innymi, sprawia, że dr. Nusbaum, człowiek nauki, pozytywista czystej wody, nie umiał się dotąd wyzbyć mistycznej frazeologji, nad którą ludzie zrównoważeni przeszli dawno do porządku dziennego.

* *Szkodliwy czy niewygodny?* Konstanty Srokowski, wybitny bardzo publicysta, zamieścił w *Tyg. Illustrowanym* szereg ciekawych uwag o zmarłym ks. Stojałowskim i burzliwych kolejach jego życia. Z tych uwag pod nagłówkiem „Pierwszy trybun ludowy w Galicji“ podajemy niektóre wyimki.

Pewnego dnia Galicja dowiedziała się o rzeczy niesłychanej. Stojałowski zwołuje wiece chłopskie w Krakowie i na prowincji. Wprawdzie konstytucja, dozwalająca na taki sposób spędzania czasu, istniała już lat dwadzieścia bez mała, ale w Galicji ciągle jeszcze uważano to za niesłychaną i strasznie niebezpieczną nowinkę. O ileż większe musiało być przerażenie, kiedy dowiedziano się, że straszny ksiądz i „warchoł“ nietylko zwołuje wiece, ale jeszcze naucza na nich chłopów, że powinni organizować się w stronnictwo chrześcijańsko-ludowe, aby w ten sposób wywierać wpływ na tok spraw krajowych i nie dawać już dłużej rządzić sobą — bez siebie. Dziś zapewne trudno zrozumieć, jak mogło tak niewinne hasło wydawać się kiedykolwiek niebezpiecznym, potępienia godnym, warcholskim, nawet zbrodniczym. A jednak wydawało się ono takim.

Stojałowskiego zaczęto zwalczać. W brutalny sposób odebrano mu probostwo i w swoim mniemaniu skazano na nędzę, która go miała unieszkodliwić raz na zawsze. Tymczasem niedostatek dodał mu tylko energji. Wolny teraz od jakichkolwiek względów, rzucił się Stojałowski w wir agitacji ludowej, rozpoczynając walkę z duchowieństwem. Nie prowadził jej jednak w jakimś duchu sekciarskim. Przeciwnie, zawsze w najściślejszej zgodzie z dogmatami i przepisami Kościoła katolickiego dowodził tylko chłopom, że, o ile słuchać powinni księdza w kościele, o tyle wolni są od obowiązku tego posłuszeństwa w kwestjach politycznych, w sprawach obywatelskich.

I wprawdzie nie było dotąd soboru powszechnego, którýby anatemę rzucał za takie twierdzenie, biskupi galicyjscy jednak pośpieszyli zapełnić tę lukę w prawie kanonicznym i zasuspendowali Stojałowskiego „a divinis“, rzucając na niego tak ciężką klątwę, na jaką się tylko zdobyć mogli. Nic to jednak nie pomogło. Stojałowski nie myślał o żadnej Kanossie, a lud garnął się doń całymi rzeszami, jak do zbawcy i cudotwórcy. Msze odprawiał cichaczem po chałupach chłopskich, przelatywał na wózkach włościańskich od wsi do wsi, wszędzie budząc ducha obywatelskiego w masach ludowych, wszędzie przygotowując je do tej roli, którą im prawo i konstytucja już dawno przyznały.

Po pewnym czasie Rzym zjednywa sobie buntownika przywróceniem do łaski i tytułem szambelana. Niedawno wyklęty, teraz tryumfujący, wrócił Stojałowski do kraju, aby swe dzieło organizacji i uświadamiania ludu prowadzić dalej. Biskupi byli już wobec niego bezsilni. Ale miejsce ich zajęli teraz — żandarmi.

Rządzący wówczas Galicją Kazimierz hrabia Badeni zbyt mało był jeszcze obyty z obyczajami i naturą praworządnego państwa, aby mógł zrozumieć, że jego wola nie zawsze była niewątpliwym prawem. Z jego rozkazu ks. Stojałowskiego więziono całymi miesiącami, ścigano, jak zbrodniarza, z powiatu do powiatu, chcąc bagnetem dokonać tego, wobec czego bezsilnymi okazały się pastorały biskupie — złamać i zgnieść niewygodnego człowieka. On jednak nie dawał się. Ścigany bezlitośnie w Galicji, przeniósł się na Śląsk, a kiedy okazało się, że „żelazna“ ręka Badeniego także i tam sięga, schronił się do małego miasteczka słowackiego Czaczy, na granicy śląsko-węgierskiej, skąd cichaczem nocami tylko wpadał do kraju, między swoich chłopów, którzy, zachwyceni, całowali z nabożeństwem rąbek jego zawsze wyszarzanej sutanny.

Według więc źródeł poważnych i bezstronnych — a za takie uznać należy relacje współpracownika *Nowej Reformy* — ks. Stojałowski, człowiek, według *Dziennika Powszechnego* dla Polski „najszkodliwszy“ — był w pierwszej, twórczej epoce swego życia poprostu „człowiekiem niewygodnym“ — niewygodnym dla świeckich i duchownych oligarchów, wszechwładne w Galicji sprawujących rządy.

Tym się tłómaczy ogrom zwalonych nań szykan i oszczerstw; z człowiekiem bowiem społecznie i narodowo szkodliwym walczyć można i należy godziwymi środkami, podczas gdy ludzi „niewygodnych“ tropi się, nęka, niweczy i bezcześci podstępnie, zjadliwie i zdradziecko, bez najmniejszych skrupułów, z tą zajadłą i mściwa nienawiścią, jaka po wsze czasy cechuje zagrożone w swym bycie pasorzytnicze i łupieżcze kasty.

Z prasy zagranicznej.

* *Wieści z za kulis.* Pismo londyńskie *Evening Times* bardzo sensacyjne czyni rewelacje na tle minionej niedawno ostrej fazy sprawy marokańskiej, w związku z mianowaniem Winstona Churchil'a na stanowisko pierwszego lorda admiralicji. Odsłonięte poniżej jaskrawe szczegóły przesilenia mają wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Jak wiadomo — pisze „Evening Times“ — został przed niedawnym czasem minister Winston Churchil nagle powołany na stanowisko pierwszego lorda admiralicji, ponieważ „wojna wisiała na włosku“ a w admiralicji przygotowania wojenne jeszcze nie były tak daleko posunięte, jak naprzykład w ministerjum wojny. Z tej przyczyny musiano powierzyć załatwienie tych przygotowań ministrowi, któryby umiał połączyć energję ze znajomością rzeczy. Było to w czasie wielkiego strejku kolejarzy w Anglji, a w tymże czasie oczekiwano także wybuchu wojny pomiędzy Francją i Anglją z jednej, a Niemcami z drugiej strony.

W ową sobotę, kiedy to z takim pośpiechem doprowadzono do porozumienia w obozie strejkujących, prezes gabinetu angielskiego otrzymał pośpieszny list prywatny od prezydenta republiki francuskiej, w którym tenże donosił rządowi angielskiemu, że Francja w ciągu 24 godzin oczekuje wypowiedzenia wojny ze strony Niemiec. Mr. Asquith miał na to odpowiedzieć swemu koledze francuskiemu, że

Anglja jest gotowa natychmiast posłać Francji na pomoc 150,000 żołnierzy pod dowództwem Sira Johna Frencha. Równocześnie spostrzeżono jednak w Londynie, że organizacja floty angielskiej jest niedostateczną, aby w razie wojny móc flotę zmobilizować w „krótkim czasie, i dlatego Winstona Churchila mianowano szybko pierwszym lordem admiralicji, podczas gdy Lloyd George postarał się o natychmiastowe zakończenie strejku, wmówiwszy obu partjom, że zgoda jest potrzebna ze względu na zagrożone bezpieczeństwo państwa.

KRONIKA.

547-MY ROK SZKOLNY WSZECHNICY JAGIELLOŃSKIEJ. Ogólna liczba słuchaczów w półroczu zimowym wynosiła 3,380 w czym 2,957 zwyczajnych (2,706 mężczyzn i 251 kobiet). Na wydziale prawa — 1,427 na filozofji 1,307 na medycynie 561, na teologji 85.

Od 10-ciu lat liczba uczniów podwoiła się; stąd ciągła troska senatu i starania o powiększenie i pomnożenie sal wykładowych i seminaryjnych i o uzyskanie nowych budowli dla zakładów uniwersyteckich. W roku ubiegłym utworzono nowe „kolegjum agronomiczne" (koszt około 900,000 koron) i zakład fizyczny (700,000 koron). W budowie znajdują się kliniki nerwowo-psychjatryczne i zakład weterynarji. „Collegium iuridicum", opróżnione przez agronomów, będzie przebudowane i obejmie zakłady antropologji, paleontologji, tudzież trzeci zakład chemiczny. Do najpilniejszych, niezałatwionych jeszcze spraw należy objęcie gmachu po szkole przemysłowej, celem rozszerzenia I i II pracowni chemicznych i pomieszczenia seminarjów, które znajdują się obecnie w *Collegium novum* i w gmachu książnicy.

W roku ubiegłym weszła w życie fundacja ks. Lubomirskich, mająca zapewnić wykłady o dziejach i rzeczach Litwy. Wykład inauguracyjny p. t. „Unja Polski z Litwą" wygłosił prof. Kutrzeba dn. 30 marca. Weszła również w życiu fundacja ś. p. Władysława Kretkowskiego (400,000 koron), przeznaczona na rozszerzenie wykładów matematyki czystej.

Fundacje stypendjalne, zostające pod zarządem senatu, powiększyły się zapisem ś. p. Henryka Łapacińskiego z Wilna (25,000 rb.) Stypendja od senatu pobierało 42 uczniów (19,050 koron), od wydziału krajowego 177 uczniów (51,563 kor.).

WYNIKI PIENIĘŻNE RZĄDOWEJ SPRZEDAŻY WÓDCZANEJ. W r. 1910-ym skarbowa sprzedaż spirytusu dokonywana była w 65 guberniach i 10 okręgach, to znaczy na przestrzeni, obejmującej 15,056,389 wiorst kw., 147,615,200 mieszkańcami. Liczba sklepów monopolowych wynosiła 26,656 wobec 26,971 w 1909 roku. Sprzedano w okresie sprawozdawczym 89,542,440 wiader skarbowych trunków, t. j. 5,221,682 (6, 19 proc.) więcej, niż w 1909 r. Dochód brutto ze skarbowej sprzedaży trunków wyniósł rb. 764,434,091,74 a więc o rb. 44,020,92 więcej, niż w 1909 r. Dochód czysty wynosił 574,455,652 rb. 2 kop. i przerósł dochód z 1909 r. o rb. 47,391,389,51. Ze sprzedaży spirytusu skażonego osiągnięto 2,812,857 rb. 24 kop., a wydatkowano rb. 2,478,159,05, przeto czysty zysk uczynił rubli 334,728,19.

PIERWSZY POSEŁ POLSKI W PARANIE. Członek P. T. E. p. Edmund Saporski, inżynier-geometra w Kurytybie, postawiony został na liście rządowej kandydatów na posłów do kongresu (sejmu) parańskiego z powodu wyborów, jakie niebawem tam się odbędą.

Wybór p. Saporskiego uważać można za najzupełniej pewny już choćby z tego względu, iż kandydaci rządowi w Paranie zawsze przy wyborach odnoszą zwycięstwo.

Książki nadesłane do Redakcji:

Prof. Jan Sosnowski: „Świat zwierząt". I. Zwierzęta ssące, wydanie polskie pod redakcją— według Karola Cornischa, zeszyt I i II, z trzema tablicami kolorowymi i 95 ilustracjami w tekście, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G Gebethner i Sp. 1911, 4-ka, str. 64. Cena zeszytu kop. 60.

Dr. Gustaw Le Bon: „Psychologja wychowania", przekład polski Izy Moszczeńskiej, Warszawa, Nakład, Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 8-ka, str. 168 Cena rb. 1,20.

Mieczysław Srokowski: „Epigoni", powieść, wydanie nowe, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1911, 8-ka, str. 208. Cena rb. 1,20.

Thomas H. Huxley: „Zasady Fizjologji" w opracowaniu Dr J. Rosenthala, prof. uniwers. w Erlangen Z upoważnienia d-ra Rosenthala przełożył d-r Adam Lande z czwartego poprawionego wydania niemieckiego. Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszwera i Sp. Str. 490.

Teresa Lubińska: „Nie wiedziała", powieść. Nakład drukarni Bilińskiego i Maślankiewicza. Warszawa, 1912. Str. 354.

LISTY DO REDAKCJI.

Prezydjum centralnego Towarzystwa Rolniczego nadesłało nam z prośbą o zamieszczenie list następujący:

Wskutek zamieszczonego w Nr. 44 „Prawdy" artykułu „Próba samodzielności ekonomicznej ludu", uważamy za obowiązek wyjaśnić, że sprawozdanie z odbytego z inicjatywy pp. Malinowskiego i Gabrysia w dn. 29 października r. b. w Muzeum Przemysłu Rolnictwa zebrania przedstawicieli niektórych Spółek mleczarskich, jest niezgodne z rzeczywistością. Nikt z członków Centralnego Towarzystwa Rolniczego nie przekładał zgromadzonym korzyści, wypływających z połączenia drobnych wytwórców z „ wielką wytwórczością obszerniczą", dla tej prostej przyczyny, że nikt z przedstawicieli Centralnego T-wa Rolniczego w zebraniu tym nie przyjmował udziału, a p. inż. Z. Chmielewski, kierownik istniejącej od lat 2 przy C. T. R. komisji mleczarskiej, właściwy twórca i organizator współdzielczych mleczarń w naszym kraju na zebraniu tym do głosu dopuszczonym nie został.

Pozostawiamy na boku zasadniczą stronę sprawy, która na innym miejscu wyjaśnioną zostanie, poprzestając na sprostowaniu nieściśle przedstawionych faktów

Prezydjum Centralnego Towarzystwa Rolniczego
w Królestwie Polskiem

St. Leśniowski. *M. Kiniorski.*

Warszawa, d 9 listopada 1911 r.

Zamieszczając, w imię bezstronności, list powyższy, przyznajemy, że istotnie pan Z. Chmielewski na pomienionym zgromadzeniu włościan do głosu dopuszczony nie został. Dodać atoli musimy, celem uzupełnienia prawdy, że na zgromadzeniu owym był i głos wielokrotnie zabierał pan Danysz, który, aczkolwiek zastrzegł się, iż nie występuje z ramienia C. T. R., przecież jaskrawy i wymowny dawał wyraz poglądom oraz dążnościom tego Towarzystwa, jako członek tegoż i działacz wybitny. Co się zaś tyczy pana Chmielewskiego, to nie udzielono miejsca jego wywodom jedynie z tej racji, że wywody owe wszystkim uczestnikom zjazdu były dostatecznie znane z licznych uprzednich wystąpień i przemówień jego, jako kierownika istniejącej przy C. T. R. komisji mleczarskiej, nie pozostawiających żadnych wątpliwości co do swej istoty i kierunku.

Red.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

Józef Weyssenhoff

Soból i Panna

Cykl myśliwski. Cena rb. 2.20.

Tegoż autora:

HETMANI Powieść współczesna z okresu rewolucji. Cena rb. 2.—

Unia Powieść litewska. „ 2.—

Dni polityczne. Ser. I. Narodziny działacza (r 1905). „ 1.—

— Ser II. W ogniu (rok 1905—6). „ 1.80

Erotyki. Wydanie wytworne z ilustracjami Henryka Weyssenhoffa „ 2.50

W wykwintnej oprawie „ 4.—

Sprawa Dołęgi. „ 1.80

Syn marnotrawny. „ 2.20

Za błękitami z ilustr. K. Gorskiego. Wyd. 2-gie „ 1.—

W ozdobnej oprawie „ 1.40

Zaręczyny Jana Bełzkiego. Z ilustr. K. Gorskiego Wydanie 2-gie rb. 1.— W ozd. opr. „ 1.40

Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wyd. 4-te „ 1.50

NOWOŚĆ!

ŚWIAT ZWIERZĄT Wydanie polskie pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Barwne opisy życia i obyczajów zwierząt.

ŚWIAT ZWIERZĄT Obejmuje około 400 stronic tekstu na pięknym kredowym papierze.

ŚWIAT ZWIERZĄT Zawierać będzie przeszło 500 illustracji w tekście, fotografji zdejmowanych z natury, oraz 13 rycin wielobarwnych na osobn. tablic.

ŚWIAT ZWIERZĄT Wychodzi zeszytami 1-go, 10 i 20 każdego miesiąca. Każdy zeszyt obejmuje dwa arkusze druku z jedną tablicą kolorową.

CENA ZESZYTU W PRENUMERACIE: kop. 60.

Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ: kop. 70.

Całość ukończona będzie w grudniu r. b., poczym cena dzieła będzie podwyższona.

Dotąd wyszły cztery zeszyty.

NAJNOWSZE POWIEŚCI

Emma Jeleńska, JUBILEUSZ, Cena rb. 1.20

Mieczysław Srokowski, EPIGONI. Cena rb. 1.20.

Maciej Wierzbiński, POD MYSIĄ WIEŻĄ.

Powieść na tle walk narodowościowych w Poznańskiem. Cena rb. 1.80.

Stefan Żeromski, ARYMAN MŚCI SIĘ.

Wydanie nowe Cena kop. 90.

Bibljoteka życia codziennego.

Le Bon Gustaw. Psychologia wychowania. Przekład Izy Moszczeńskiej. Cena rb. 1.20

Foerster Fr. W. prof. dr. Szkoła i charakter. Z przedmową Anieli Szycówny. Cena rb. 1.—

Kucharzewski Jan. Czasopiśmiennictwo polskie w wieku XIX. Cena rb. 1.20

Peabody Fr. B. Jezus Chrystus i kwestja społeczna. Przekład Anieli Jałowieckiej. Cena rb. 1.20

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PISMA Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

Tom II: Tragikomedja prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona. Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb 1 k. 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb 1 k. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

Tom V: Trylogja Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

Tom VIII: Duchy. Część 4, 5 i 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

„Gazeta Kujawska"

Dziennik postępowy, polityczny, społeczny i literacki. Wychodzi we Włocławku codziennie, przy współudziale najwybitniejszych sił literacko-publicystycznych.

Cena prenumeraty: We Włocławku rb. 5, z przesyłką pocztową rb. 6 rocznie.

Redaktor i wydawca **Dr. Jakób Neumark.**

Wydawnictwo jubileuszowe.

Prenumeratę na ilustrowany **Wybór nowel Wiktora Gomulickiego** przyjmuje radakcja *Prawdy* na warunkach następujących:

Cena egzemplarza zwyczajnego, w wydaniu wytwornym, z ilustracjami najpierwszych polskich artystów — rp. 3, z przesyłką pocztową rb. 3 kop. 50.

Na papierze czerpanym — rb. 10, z przesyłką pocztową rb. 10 kop. 50. (Egzemplarzy takich, opatrzonych kolejnymi numerami, będzie 50).

Na papierze najwykwintniejszym, holenderskim lub japońskim, z autografem autora i wydrukowanym nazwiskiem prenumeratora — rb. 25, z przesyłką pocztową o 60 kop. drożej. (Egzemplarzy takich, oznaczonych kolejnymi literami alfabetu, będzie 10).

Książka wyjdzie w miesiącach zimowych r. b. Po wyjściu cena zostanie podniesiona.

Nazwiska prenumeratorów będą ogłaszane w *Prawdzie.* Całkowita ich lista zostanie wydrukowana przy „Wyborze nowel".



NAJLEPSZE

są

PATEFONY

ponieważ grają bez igieł, wieczną kulką szafirową głośno, czysto i naturalnie.

Nowe udoskonalone modele nadeszły.

W repertuarze wszystkie opery, najnowsze **operetki**, kabaret, sceny humorystyczne, tańce etc.

Ceny płyt zniżone.

Główny Skład na Król. Polskie

ADAM KLIMKIEWICZ

ZA GOTOWKĘ. Warszawa, WIERZBOWA 8 (wprost Niecałej). NA RATY.

Wydawnictwa „PRAWDY”.

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy** Cena k. 75

Karol Gide: **Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia** „ rb. 2

Prenumerata „Prawdy” wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**

Redaktor: **Aleksander John.**

Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.